

JERRY AHERN

PROROK

CYKL: KRUCJATA TOM 7

(PRZEŁOŻYŁA: MARIA GRABSKA)

JERRY AHERN

PROROK

CYKL: KRUCJATA TOM 7

(PRZEŁOŻYŁA: MARIA GRABSKA)

Rozdział I

Zejscie do podnóża skał wydawało się być bardzo trudne, a oni byli już u kresu sił. Rourke taszczył M-16 Natalii a Rubenstein jej plecak. Za nimi prowadził swój zdziętkowany oddział porucznik O'Neal. Cole i jego dwaj ludzie osłaniali tyły przed kolejnym atakiem dzikusów, choć nie wyglądało na to, by dzicy mieli się zbliżyć, dopóki nie będą pewni, że Rourke i jego towarzysze bezpiecznie przeszli dolinę.

Na czele szedł Paul Rubenstein z licznikiem Geigera. Teraz mogło im zagrozić tylko promieniowanie izotopów powstałych w wyniku wybuchu ładunków jądrowych o małej mocy. Nie mieli żadnego sprzętu do odkażania i wiedzieli, że jeśli Rubenstein trafi na gorącą plamę, zginie, zanim jeszcze na liczniku pojawi się odczyt.

- Idź z Paulem. - Szept Natalii wyrwał Rourke'a z zamyślenia. - Chcesz być z nim w razie czego...
Wiem, czułabym to samo. Idź!

Natalia potknęła się. John spojrzał na nią i objąwszy w talii, pomagał jej iść. Pokręciła głową.

- Czuję się całkiem dobrze.

- Brednie - powiedział cicho i obejrzał się. - Skręćcie w lewo, w stronę wąwozu! - zawołał głośno do porucznika O'Neala, który prowadził oddział ich śladem. - Tam będziemy mogli odpocząć.

- Nie muszę odpoczywać - rzekła Natalia.

- Musisz - Rourke nie zwracał uwagi na jej protesty. - Paul! Wycofaj się do tamtej dolinki!
Odpoczynek! - krzyknął do Rubensteina.

- Okay! - zawołał w odpowiedzi Paul i ruszył im na spotkanie.

Biegł truchtem w kierunku wąwozu, zamierzając przeciąć im drogę.

- Chcesz dotrzeć do Bazy Lotniczej Filmore... - zaczęła Rosjanka.

- I dotrę - przerwał jej Rourke. - Dojdziemy tam, ale najpierw musimy odpocząć. Parę godzin wytchnienia i znów będziemy mogli ruszyć dalej. O'Neal może rozstawić warty i pozostać tutaj z rannymi.

- A Cole? Idzie z nami? - zapytała.

- Czemu nie? - wycedził przez zęby Rourke, ścisząc głos. Zbliżali się do wylotu wąwozu.

- Tak go lubię - roześmiała się dziewczyna. John zerknął na nią czując, że się uśmiecha. -
Dlaczego uparłeś się bronić mnie przed dzikusami? Sama dałabym sobie z nimi radę.

- Wiem. - Znacząco pokiwał głową.

- Jesteś obrzydliwym męskim szowinistą, John... Spojrzał na nią, mrużąc oczy w słońcu, mimo ciemnych szkieł, ale nie odezwał się ani słowem.

Kiedy Rourke ocknął się, słońce stało nad horyzontem jak wielka czerwona piłka. Byli tak zmęczeni, że odpoczynek zaplanowany na kilka godzin zajął im całą noc. Teraz Rourke chciał jak najszybciej dotrzeć do bazy i odnaleźć ośmiomegatonowe głowice eksperymentalnych rakiet. Potem zamierzał wrócić na atomową łódź podwodną komandora Gundersena. Czuł, że zamiast szukać Sarah i dzieci, zmarnował dwa tygodnie.

Natalia i Paul szli w milczeniu. Paul wysunął się nieco naprzód, na wszelki wypadek nadal obserwując licznik. Dwaj ocalali żołnierze II USA rozmawiali z kapitanem Cole'em, ale Rourke nie słyszał ich słów. O wschodzie słońca było już prawie dziesięć stopni ciepła.

Nawierzchnia drogi była w bardzo dobrym stanie: żadnych pęknięć ani żdźbła trawy. Rourke widział główną bramę Bazy Lotniczej Filmore. Ogrodzenie nie było uszkodzone a budynki bazy również wydawały się nie tknięte. Poprzedniego dnia John zaobserwował przez lornetkę Bushnella znajdujące się daleko za bazą leje po bombach. Teraz zastanawiał się, jak doszło do tego, że na bazę nie spadła ani jedna z nich. Był pewien, że obiekt tej klasy zostałby zniszczony już na samym początku wojny. Żaden samolot nieprzyjacielski nie przedostałby się przez linię obrony przeciwlotniczej, ale przeciwnik dysponował przecież międzykontynentalnymi raketami uzbrojonymi w głowice neutronowe. To, że baza była wciąż jeszcze gotowa do użycia, wydawało się dziełem przypadku.

- John... - odezwała się Natalia.

- Uhm, widzę. - Rourke popatrzył na nią przez chwilę i znów odwrócił wzrok w stronę coraz wyraźniej widocznych zabudowań. Na wieży ciśnien stojącej niedaleko ogrodzenia coś błyskało. Mogło to być szkło celownika.

- Kiedy dam znak, pójdziecie szybko tyralierą - powiedział głośniejszym głosem, tak głośno, że mógł go usłyszeć Cole i jego żołnierze oraz Rubenstein. Paul popatrzył przez ramię, skinął głową i spojrzał w kierunku bazy.

“On też widział ten błysk” - pomyślał Rourke.

- Tam na wieży chyba siedzi snajper - powiedział. - Jeśli to nie dzikus, to pewnie jeden z ludzi Armanda Teala.

- Jak kula, to kula - warknął Paul, nie oglądając się za siebie. Rourke nic nie odpowiedział. Szedł dalej, obserwując spod przymkniętych powiek światełko na wieży. Czekał, aż światełko przesunie się choćby odrobinę. Wiedział, że im bliżej płotu uda się podejść, tym większe będą ich szanse dostania się do bazy. Snajper - jeżeli to był snajper, a Rourke był pewien, że tak - z pewnością rozpoznał wcześniej pole i zasięg ostrzału. “Na przedpolu powinny być znaki” - myślał John.

- Dwadzieścia jardów stąd, na poboczu, leży kupka kamieni. - Natalia czytała w jego myślach. - Te kamienie są ciemniejsze od innych.

Rourke skinął głową. Snajper będzie się starał nie zdradzić swojej obecności, dopóki nie znajdą się w pobliżu punktu orientacyjnego. Do obliczenia odległości do celu potrzebne było twierdzenie Pitagorasa. Wysokość wieży stanowiła jeden bok trójkąta, odległość od znaku - drugi. Długość trzeciego boku trójkąta wynikała z prostego obliczenia i na tę odległość nastawiało się celownik. W takich warunkach dobry strzelec, dysponujący porządnym karabinem, trafiał w obiekt wielkości gałki ocznej.

Doktor żałował, że nie ma ze sobą swego karabinu. Przy niewiarygodnej precyzji Steyra-Mannlichera SSG, przeznaczonego do walki ze strzelcem wyborowym, snajper na wieży byłby dla niego łatwym celem,

- Poruszył się - mruknęła Natalia.

- Widziałem - przytaknął.

Rourke zastanawiał się, co zrobi siedzący na wieży człowiek z karabinem. Jeżeli on i jego ludzie zdołają się rozproszyć, zanim snajper naciśnie spust, będzie więcej czasu, aby znaleźć jakąś osłonę. Nim tamten strzeli po raz drugi, będzie długo celował. John czuł, że pocą mu się dłonie.

- Kryj się! - wrzasnął. Popchnął Natalię w prawo, sam pobiegł w drugą stronę. Rozległ się głośny trzask. "To nie jest broń wojskowa" - pomyślał. Odblask celownika przesunął się w tej samej chwili, w której Rourke zakomenderował:

- Ognia! W górę!

Usłyszał trzaski karabinów Natalii, Cole'a i dwóch żołnierzy. Brakowało tylko charakterystycznego odgłosu dziewięciomilimetrowego MP-40. Rubenstein nie strzelał. Jego broń miała za krótki zasięg. Rourke padł na ziemię, podniósł broń do oka. Wystrzelił raz, drugi, trzeci. Zerwał się na równe nogi i ruszył biegiem naprzód, kiedy z wieży padł kolejny strzał. John biegnąc obejrzał się za siebie. Za nim odezwały się krótkie serie jego towarzyszy. Jeszcze trzy razy nacisnął spust, starając się zwrócić na siebie uwagę snajpera i unieszkodliwić go celnym strzałem. Z wieży znów rozległ się charakterystyczny trzask. Doktor poczuł palący ból ucha. Potknął się.

- Cholera! - wymamrotał odzyskując równowagę.

- John? - W głosie Natalii dało się wyczuć niepokój.

- W porządku! - odkrzyknął.

Jego oddech stawał się coraz cięższy. "Jeszcze tylko dziesięć jardów. Trzeba sforsować ogrodzenie" - pomyślał.

- Uważaj! Prąd! - zawołał za nim Cole.

- Gówno! Za słabe zasilanie! - Rourke nie zatrzymał się. Od płotu dzieliło go pięć jardów.

- Cole! Ty i twoi ludzie przyciśnijcie tego gościa. Paul, Natalia, skaczemy pierwsi!

- To drut kolczasty, John! - wołał Paul.

Rourke nie odezwał się. W biegu zrzucił plecak, zabezpieczył karabin i przerzucił go do lewej ręki. Zaczepił kolbą o drut na szczycie ogrodzenia. Podciągnął się w górę. Słyszał nieustanny huk wystrzałów. Kule z brzękiem odbijały się od blaszanych ścian wieży. Zawisł na ogrodzeniu, własnym ciężarem pociągając druty w dół.

- Paul, skacz!

Rubenstein spadł po drugiej stronie ogrodzenia. Potknął się. Zaklął.

- Teraz Natalia!

Kolba karabinu Johna zaczęła się powoli osuwać. Zacisnął dłoń na łańcuchu. Druty zachrzęściły. Chwilę potem kobieta była już po drugiej stronie. Rourke widział, jak miękko niby kot wylądowała i pobiegła dalej, strzelając ciągle z M-16. Dołączyła do Rubensteina, który biegł lekko utykając.

- Cole!

Rourke czuł, że ramię pali go nieznośnie. Był u kresu sił. Płot zachwiał się pod ciężarem Cole'a. Tuż za nim przedostawali się przez ogrodzenie jego dwaj żołnierze. Kanonada dobiegała teraz z wnętrza bazy. Oprócz karabinów szturmowych odezwał się cichszy trzask broni Rubensteina: strzał i następny, i jeszcze jeden.

Nagle kula snajpera przecięła łańcuch w ogrodzeniu, który zahaczył o pas karabinu doktora. John zostawił broń i z wysiłkiem przerzucił ciało na drugą stronę metalowego parkanu. Upadł ciężko na nogi, stracił równowagę i potoczył się po ziemi. Wstając namacał pod lewą pachą pistolet typu Detonics 45s i drugi, taki sam, pod prawą. Pobiegł za innymi.

Kiedy byli już na drodze, snajper strzelił znów. Kule zagrzechotały na betonie, niebezpiecznie blisko jego stóp. Strzelano także z przypominającego wyglądem bunkier budynku, oddalonego o sto jardów od miejsca, w którym teraz znajdował się Rourke.

Za chwilę Rourke dołączył do swoich. Niedaleko nich znajdowała się wartownia. Ukryci za nią

Natalia i Paul strzelali w kierunku wieży ciśnień. Z tej odległości strzały Rubensteina były jednak zupełnie bezskuteczne. Natalia pruła równymi, potrójnymi seriami z M-16. Dopadłszy wartowni John oparł się o ścianę łapiąc oddech. Skulił się z bólu. Ukrył głowę między kolanami. Major Tiemerowna strzeliła raz jeszcze i pochyliła się nad nim.

- Twoje ucho...

- Nic mi nie jest. A co z tobą? - spytał. - Jak twój brzuch po tym skoku?

- W porządku. Jesteś niezłym chirurgiem. Pozwól mi teraz zerknąć na twoje ucho.

- Nie ma czasu.

- Pokaż mi je - zdecydowała stając nad nim. - Paul, chodź tu! - Rubenstein odwrócił się. Natalia oddała mu swój karabin.

- Spróbuj tym - powiedziała.

- Dobra. - Kiwnął głową, poprawiając okulary w drucianych oprawkach i znów wychylił się z za węgła wartowni. Tym razem odgłos strzału z wieży zabrzmiał donośniej.

- Snajper ma prawdopodobnie H & H - rzuciła mimochodem Natalia.

- Uhm - przytaknął Rourke. Syknął z bólu, kiedy dotknęła jego ucha

- Paul - zagadnął. - Co z twoją nogą?

- Nic, lekko ją skręciłem, ale rozruszała się w biegu.

- Okay. - John zacisnął zęby z bólu, kiedy Natalia badała ranę.

- Będzie blizna. Masz dużo szczęścia. Jak to mówią w waszych amerykańskich filmach - "draśnięcie". Mnóstwo krwi i małe rozdarcie górnej części ucha zewnętrznego.

- Małżowiny - poprawił ją John.

- Ty, doktorze, nazywaj to sobie małżowiną. Ja, major KGB, przeszkolona tylko w zakresie pierwszej pomocy, będę mówiła: "górną część ucha zewnętrznego".

- Dobrze już, dobrze - jęknął Rourke.

- Sporo krwawiło. Nie sądzę, żeby było niebezpieczeństwo infekcji. Czy apteczka jest w twoim plecaku?

- Ty ją masz.

- Krwawienie ustaje.

- Dobra! Startujemy z Paulem do wieży ciśnień. - Rourke wstał i przesunął się bliżej węgła budynku.

- Cole? - zawołał.

- Tutaj! - Głos kapitana dobiegł z samochodu zaparkowanego tuż obok drugiej bramy. Brama była przymknięta, ale doktor nie zauważył żadnych zamków.

- W tym budynku siedzi trzech albo czterech facetów - zawołał Cole.

- Zwiąż ich ogniem! - rozkazał Rourke. Zwrócił się do Rubensteina. - Oddaj Natalii jej karabin. Lecimy przez bramę, potem ty na lewo, ja na prawo. Za bramą znajdź sobie jakąś osłonę i ani na moment nie przerywaj ognia. Ja będę się wspinał na górę.

- Może ja... Ty jesteś przecież ranny.

- Nie - zaprzeczył John. - Natalia, ty cały czas ładuj w snajpera, żeby ten nie wychylił nosa, tymczasem my z Paulem sobie pobiegamy. Kiedy zacznę się wspinać, daj Paulowi wsparcie ogniowe. Nic nam nie będzie, z tej odległości na nic mu się zda celownik.

- Tak jest! Tylko bądź ostrożny - poprosiła czule.

- Jak wiesz, zawsze uważam na siebie. - Rourke uśmiechnął się. Wyciągnął oba Detonics'y i

spojrzał na Paula. - Gotowy? -zapytał.

- Pewnie - uśmiechnął się Rubenstein. - Rankiem nic tak dobrze nie robi człowiekowi, jak solidna bieganina pod ostrzałem.

Natalia roześmiała się. John nie miał już ochoty na żarty.

- Idziemy! - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Pobiegli. W drodze do bramy Rourke wyprzedził Rubensteina o pół kroku. Całym swoim ciałem naparł na wrota, aż otwarły się szeroko.

- Będę pierwszy! - krzyknął Paul. Doktor roześmiał się:

- A gówno! - odkrzyknął, pochylając się w biegu. Obie dłonie zacisnął mocno na rękojeściach pistoletów. Stopy dudniły na betonowej nawierzchni placu, a każdy krok odbijał się echem w całym ciele. John czuł, że ucho znów zaczyna wypełniać ciepła wilgoć. Zerknął w lewo. Nowojorczyk jeszcze go nie wyprzedził, ale trzymał tempo, w biegu poprawiając okulary. Zbliżał się właśnie do jeepa.

- Uważaj Paul! Może rąbnąć w bak! - ostrzegł Rourke.

- Dobra!

Serce Rourke'a waliło jak oszalałe. Uśmiechnął się sam do siebie. Rubenstein był jednak młodszy. Nad jego głową rozległ się huk wystrzału i przeciągły gwizd kuli, odbitej od jeepa, za którym schronił się Paul. Broń Rubensteina zagrała. Doktor z trudem chwycił oddech. Grad karabinowych kul uderzył w drewniane belki - ktoś strzelał z położonego nie opodal niskiego baraku.

- Cole! - ryknął John zastanawiając się, czy kapitan go słyszy i czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że nadal jest im potrzebne wsparcie. Osiągnęli cel, ale snajper na wieży nadal działał. Serie z karabinu, odbijające się od belek, wymierzone były w Rourke'a.

Starannie zabezpieczył oba Detonics'y, schował je do kabur. Zaczął wspinać się powoli po ukośnych, krzyżujących się belkach. Zaśmiał się w duchu. Wiele lat temu, kiedy chodził do szkoły średniej, paru kumpli chciało go namówić, żeby wspiął się na wieżę ciśnień i farbą w sprayu uwiecznił na niej nazwę lokalnej drużyny futbolowej. Właśnie zbliżały się rozgrywki. Wtedy odmówił, uznając to za wandalizm. Teraz też piał się na wieżę, tylko że zamiast pojemnika z farbą miał ze sobą dwa automatyczne pistolety, rewolwer Magnum 357 i nóż. "Ironia losu" - pomyślał.

Posuwał się naprzód. Kule karabinowe coraz częściej bębniły w belki obok niego. Jak gdyby w odpowiedzi zagrała broń Cole'a i jego ludzi. Strzały rozległy się też z pozycji zajmowanej przez Natalię. Te strzały miały bronić jego życia. Pełzł pod gradem kul w kierunku galerii okalającej wieżę, skąd strzelał snajper. Do przebycia pozostało mu jeszcze około trzydziestu stóp. Rourke słyszał terkot półautomatu Rubensteina i huk karabinu snajpera. Jeszcze dwadzieścia stóp... Chwycił poprzeczkę nad głową, ale przestrelone drewno nagle złamało się. Na moment stracił równowagę. W końcu z trudem uchwycił ukośną podpórkę galerii i zawisł w powietrzu. Znalazłszy oparcie dla nóg, znowu podjął wspinaczkę.

Ogień przeciwnika osłabł. Wzrastało natężenie ognia osłony. "Kiedy wreszcie uciszę snajpera, ci na dole będą mogli zbliżyć się do baraku" - pomyślał.

Znalazł się wreszcie tuż pod parapetem wieży czekając, aż usłyszy strzał. Huknęło. Dobiegł go odgłos pośpiesznego szczęku zanika. Podciągnął się w górę i wdrapał na galerię. Porwał Pythona z kabury na biodrze właśnie w chwili, gdy strzelec odwrócił się.

- John? John... ty tutaj? - Na zszarzałej ze zmęczenia twarzy mężczyzny pojawił się dziwny uśmiech.

Rourke opuścił lufę.

- Armand Teal - szepnął.

Teal odwrócił się w kierunku placu i krzyknął najgłośniej, jak mógł:

- Przerwać ogień! To przyjaciele! Przerwać ogień! Strzelanina z bunkra umilkła. W dole ludzie zaczęli wychodzić ze swych kryjówek.

Rozdział II

Grób był płytki, ale Millie Jenkins była mała. Ta niewielka ilość ziemi powinna wystarczyć, aby ukryć na zawsze ciało dziecka.

Sarah Rourke skończyła kopanie. Odłożyła na bok łopatę. Ręce piekły od chropowatego trzonka.

Jeszcze raz zmierzyła spojrzeniem głębokość dołu. Dreszcz przebiegł jej po plecach. John nazwał kiedyś to uczucie “rodzajem mimowolnego paroksyzmu”. Ona określała to po prostu słowem “panika”.

- Jest wystarczająco głęboki - szepnęła.

Popatrzyła na syna. Michael klęczał na pryzmie ziemi. Miał umorusaną buzię. Otarł pot z czoła, brudząc się jeszcze bardziej.

- Jest już dość głęboki - powtórzyła powoli.

- Zabiję ich. Wszystkich. - Usłyszała za sobą. Odwróciła się. To był Bill Mulliner.

- Nie, nie zabijesz nikogo - szepnęła. - Masz matkę, którą musisz się opiekować i także nam musisz pomóc.

Przez długą chwilę patrzyła na Billa. Potem wzięła Michaela za rękę. Zdjęła z dłoni syna kolorową chusteczkę, zastępującą bandaż. Krwawienie już ustało.

- Umyj ręce, synku. Będzie trochę bolało. Weź mydło i wodę utlenioną.

- Ty też musisz umyć ręce - uśmiechnął się chłopiec, ale jego oczy patrzyły na matkę z dorosłą powagą.

Trzymała go wtedy za rękę. Ta sama kula zraniła ich oboje.

- Umyję - obiecała. - Kiedy już pochowamy Millie.

- No to ja też... kiedy już pochowamy Millie. Sarah pokiwała głową.

Mary Mulliner stała obok zatopionego w modlitwie syna. Córeczka Sarah, mała Annie, patrzyła nieruchomo na owinięte w koc ciało swojej koleżanki. Bawiły się razem od tego ranka, który nastąpił po Nocy Wojny.

- Mamo - zapytała, podnosząc wzrok na matkę. - Czy robaki zjedzą Millie? Czy zjedzą ją całkiem? W telewizji mówili raz o takim panu, którego pogrzebali i robaki...

- Annie, przestań! - Sarah puściła dłoń Michaela, rzuciła się na kolana i przytuliła córkę. Mała rozplakała się.

- Millie tu już nie ma. Poszła do... - Sarah starała się wytłumaczyć dziecku, gdzie jest teraz Millie, ale nie potrafiła powstrzymać szlochu.

- “Z głębokości wołam do Ciebie, Panie...” - Uniósł się nad głowami klęczących stłumiony, ochrypliwy śpiew Billa. Po chwili podjęła psalm jego matka:

-“... Panie wysłuchaj głosu mego...”

Dzieci płakały cicho. Sarah starała się śpiewać:

- “... Nachyl swe ucho na głos mojego błagania...” - z trudem wydobywała głos z zaciśniętego gardła.

Grób przykryto kamieniami zebranych przez dzieci, kamykami różnych kształtów i kolorów. Niektóre z nich Sarah, niegdyś pasjonatka jubilerstwa, potrafiłaby nazwać, innych nie знаła. Bill, z jednym M-16 w ręce, z drugim przewieszonym na ukoś przez plecy, spoglądał w bok. “W stronę grobu” - pomyślała Sarah.

- Ciekawe, czy David Balfry się wydostał? - Głos Billa był niewyraźny, jak gdyby coś utkwilo mu w gardle. - Pete Critchfield nawiał... No i powinien być jeszcze jakiś Ruch Oporu... Znajdziemy ich. Znajdziemy bezpieczne miejsce dla pani, pani Rourke... i dla mamy.

- Tak, Bill - powiedziała Sarah bez przekonania

- Na pewno - rzekł Bill.

Sarah nie odpowiedziała. Nie mieli wyboru. Po całej okolicy włączyły się sowieckie oddziały. Nie mieli już dokąd iść.

- Tak, Bill - powtórzyła.

Rozdział III

“Trupie, widmowe światło” - pomyślał pułkownik Nehemiasz Roźdiestwieński, patrząc na umieszczony za szybą przezroczysty, cylindryczny sarkofag, spowity w błękitną, fosforyzującą mgiełkę. Sarkofag był połączony z konsolą pełną migocących, kolorowych światełek. Pułkownik zwrócił się do doktora Wostowa, który stał z tyłu.

- Kiedy będziecie znać wyniki, towarzyszu doktorze?

- Zdajecie sobie sprawę, pułkowniku - siwy lekarz zdjął okulary i wykonał nieokreślony gest fajką - że przeprowadzenie prób w warunkach polowych to jedyny miarodajny sposób oceny...

- Wiecie przecież, towarzyszu doktorze, że teraz taka próba jest całkowicie niemożliwa.

- Nie umknęło to mojej uwadze, towarzyszu pułkowniku. Roźdiestwieński obserwował odbicie swoje i doktora w szybie, oddzielającej ich od wirujących błękitnych świateł i przypominającego trumnę przedmiotu.

- Może, gdyby udostępniono mi więcej szczegółów dotyczących tego amerykańskiego “Projektu Eden”...

- Dostarczono wam, towarzyszu doktorze, tyle danych naukowych związanych z “Projektem Eden”, ile mogliśmy zdobyć.

- A więc może... towarzyszu pułkowniku, sami nie macie wystarczających danych. - Wostow na powrót założył okulary i uniósł brwi.

- Jeżeli w tym projekcie Amerykanie pokładali tak niezachwiane nadzieje, to najwyraźniej musieli wiedzieć coś, czego my nie wiemy. Coś, o czym prawdopodobnie powinniśmy wiedzieć, żeby osiągnąć sukces.

- Badany był ochotnikiem, prawda?

- Ten człowiek w środku? Zważywszy na możliwości wyboru między udziałem w eksperymentach a natychmiastową egzekucją... Tak, myślę, że można go nazwać ochotnikiem, towarzyszu pułkowniku.

- Daje jakieś oznaki życia?

- Dane, które posiadamy, nie precyzują, jaki ma być wynik eksperymentu. Nie wiemy, czy badany człowiek powinien dawać jakiegokolwiek oznaki życia. Badania płynów ustrojowych nie dały pozytywnych rezultatów. Nie możemy jeszcze nic powiedzieć o zachowaniu się w tych warunkach tak skomplikowanego mechanizmu, jakim jest całe ciało ludzkie.

- Jego stan fizyczny był doskonały, prawda? - spytał pułkownik.

Wostow uśmiechnął się. Zdjął okulary i ssał ustnik fajki, jak gdyby układał w myśli odpowiedź. “Zupełnie jak nauczyciel w szkole dla niedorozwiniętych” - pomyślał Roźdiestwieński.

- Nie ma osobnika, którego stan fizyczny byłby doskonały - powiedział doktor. - Chociażby wy, pułkowniku. Widziałem waszą kartotekę medyczną, jak zresztą wszystkie kartoteki elitarnego korpusu KGB. Wasza waga, ciśnienie krwi i inne wyniki są idealne dla waszego wieku i budowy. Wielu chciałoby być tak blisko stanu stuprocentowego zdrowia jak wy, towarzyszu.

- Ale? - uśmiechnął się Roźdiestwieński.

- Ale: czy ta chodząca doskonałość nigdy nie miała kataru? Nagłego i niewytłumaczalnego ataku bólu, który po pewnym czasie ustępował? Gdybyście doskonale znali ludzkie ciało, nasze zadanie byłoby proste. Nie wiemy, na przykład, czy nasze doświadczenie nie uruchomi procesu rozrostu potencjalnie nowotworowych komórek w organizmie. Ponadto jest jeszcze jedna kwestia, której nie rozwiązały dotychczasowe badania sowieckich naukowców: żyjące ciało z martwym mózgiem jest bezużyteczne.

- Nie odpowiedział dotąd pan na moje główne pytanie. - Roźdiestwieński ponownie utkwił wzrok w cylindrycznym kształcie za szybą. Spodnad przezroczystej pokrywy unosiła się niebieskawa mgielka. Twarz człowieka wewnątrz była sina, rysy stężałe. - Kiedy będziemy to wiedzieć?

- Dołożę starań, żeby możliwie najszybciej znaleźć odpowiedź.

- Akcja "Łono" nabrała już rozmachu, napływa broń i zapasy. Jeśli wasz eksperyment nie powiedzie się...

- Wtedy - Wostow uśmiechnął się ironicznie do swego odbicia w szybie - wtedy nie będziemy już w stanie się martwić, prawda?

W ciszy pykanie fajki wydawało się głośnie, natrętne. Pułkownik wpatrywał się w nieruchomą postać wewnątrz cylindra. "Musisz żyć!" - pomyślał.

Rozdział IV

- Dziwna konstrukcja - stwierdził Rourke, odkładając na stół podany mu przez Teala karabin. Nie musiał przyglądać mu się z uwagą, by rozpoznać, że jest to Whitworth Express, sprowadzany niegdyś przez Interarms, dokładnie taki, jak przewidziała Natalia. Celownik Kahles wart był więcej niż cała reszta.

- Kupiłem broń i na nowo osadziłem ją w łożysku. Z byle jakim celownikiem łapała minutę kątową odchyłu na dwustu jardach. Zorientowałem się, że pukawka jest dobra, potrzebny był mi tylko lepszy celownik. Mój syn stacjonował wtedy w Niemczech. Podrzucił mi Kahlesa, kiedy przyjechał na urlop. To było... - Teal urwał.

Rourke chrząknął, wyciągnął jedno ze swoich ciemnych cygar i przez chwilę trzymał je w niebiesko-żółtym płomieniu zapalniczki.

- Myślę, że przeżyło tam mnóstwo ludzi. Dalej walczą z Rosjanami. Może i Retch żyje.

- Taak. - Teal pokiwał głową, nie patrząc na Johna i oblizał nerwowo wargi. Może jeszcze żyje...

Rourke wypuścił kłęb dymu. Patrzył, jak dym płynie w górę a potem rozwiewa się.

- Widzisz - mówił Teal. - Do momentu waszego przybycia żyliśmy tutaj zupełnie odcięci od świata. Na przykład, to co mówiłeś o II USA, o prezydencie Chambersie... Kiedy ostatni raz słyszałem o nim, otrzymał w gabinecie stanowisko ministra do spraw nauki i technologii.

- Z całego gabinetu tylko on ocalał.

- I jak się ma... to znaczy: czy jest dobrym prezydentem?

- Ma kłopoty - powiedział Rourke. - Ale stara się jak może. Teal zmienił nagle temat:

- Czy jesteś pewien, że możemy jej ufać? - Obrzucił podejrzliwym spojrzeniem siedzącą między nimi Natalię.

- Jestem Rosjanką - Natalia wyręczyła Johna w odpowiedzi - więc nie zamierzam dostarczać wam bomb. Ale też nie chcę, żeby którakolwiek strona ich użyła jeszcze kiedyś. Jestem przyjaciółką Johna. Możecie mi wierzyć, dopóki sama wam nie powiem, że pora stracić do mnie zaufanie.

- Na oko: uczciwe postawienie sprawy - mruknął Teal z dwuznacznym uśmiechem. - Tak czy owak, nie mam zamiaru mówić o czymkolwiek tajnym. W końcu była ta, jak ją nazywacie, Noc Wojny. Słyszeliście kiedyś o EMP?

- ENP? - doleciał z tyłu głos Rubensteina.

- EMP - poprawił Teal.

- Promieniowanie elektromagnetyczne - wyjaśnił Rourke.

- Skutkiem wybuchu jest silna fala elektromagnetyczna - tłumaczyła Natalia. - Efekt tej fali jest tym większy, im większa siła wybuchu i im wyżej nad ziemią nastąpiła eksplozja.

- Wybuch nie był zbyt wielki, inaczej wiedzielibyście o nim. - Teal powiódł spojrzeniem po obecnych. - Wybuch pozbawił nas łączności. Zniszczył obwody drukowane w całym naszym sprzęcie. Kiedy już pozbieraliśmy się po tym wszystkim, żadna maszyna nie mogła wystartować. Nie mogę myśleć o chłopakach, którzy byli wtedy tam, w górze: nagle wysiadają wszystkie systemy

elektryczne, brak łączności. Oni... - urwał.

- Po jakimś czasie - podjął po chwili - połataliśmy to, co się dało. Pozbierałem wszystkie stare lampy próżniowe i razem z pilotem Razniewiczem złożyliśmy radio, które miało podstawową zaletę - działało, choć jego zasięg był niewielki. Udało się nam ściągnąć do bazy parę śmigłowców i kilka myśliwców. Sądziłem, że przydadzą się, kiedy już nadejdzie pomoc. Ale... - drżącymi rękami zapalił papierosa - Mam tego do cholery i trochę - mruknął wskazując papierosy. - EX przysłało zaopatrzenie dzień wcześniej, zanim... ee... zanim to się stało. Starczyłoby dla paru tysięcy facetów, uziemionych jak ja.

- Jak udało się panu przeżyć, pułkowniku? - przerwał Cole.

- Ogłoszono stan pogotowia... Ja byłem tu, w bunkrze dowodzenia z chłopakami z nasłuchu. Wybuch nastąpił niespodziewanie. Pierwszy zorientował się starszy pilot, pełniący służbę na zewnątrz. To on zatrzasnął drzwi. Gdyby nie on... Napisałem dla niego pochwałę, ale nie wiem, czy z jego rodziny żyje ktokolwiek, kogo można by powiadomić. Ocalił nam życie. - Teal spojrzął na swój papieros. - Próbowaliśmy się z kimś połączyć. Nikt nie odpowiadał. Myślałem, że zostaliśmy sami. Słyszał tylko sowieckie stacje zagłuszające. Nie wiedzieliśmy, co się stało... Przeżyło nas tylko osiemnastu - głównie radiowcy, paru wyższych oficerów... Znow zamilkł.

- Mieliśmy tu, w środku, monitory kontrolne - ciągnął. - Zanim wysiadła łączność, patrzyliśmy jak spadają rakiety. Myśleliśmy, że już po wszystkim. I wtedy nagle ludzie zaczęli umierać... Patrzyłeś na nich, a oni po prostu umierali...

Teal zdusił w popielniczce Marlboro i wyciągnął z innej paczki Winstona. - Widzisz, palę coraz to inne, tak samo reszta chłopców. Stwierdziłem, że w ten sposób, kiedy wyczerpie się któryś gatunek, będzie łatwiej to znieść.

Ukrył twarz w dłoniach. Kaszlnięciem zamaskował szloch. Podniósł głowę, oczy miał wilgotne.

- Myślałem, że jesteśmy jedynymi żyjącymi Amerykanami. Rourke zaciągnął się cygarem. Zgasło. Zapalił je ponownie.

- Kiedy już wyszliśmy na zewnątrz, nie byliśmy w stanie ich wszystkich pochować - mówił dalej Teal. Trzy tysiące czterysta dwadzieścia osiem osób. Nie tylko mężczyźni. Żony, dzieci... Moja żona...

Wstał potrącając krzesło, które upadło z hałasem na betonową podłogę. Odszedł od stołu. Rourke patrzył w ślad za nim, inni również śledzili wzrokiem jego kroki.

Milczeli.

Słońce grzało mocno. Wszyscy siedzieli przed bunkrem. John jadł dostarczony przez EX batonik. Natalia paliła Pall Malla.

- To mój ulubiony gatunek - powiedziała. - Zawsze przepadałam za amerykańskimi papierosami.

- Trwało to dość długo. Ciała... do tego czasu... To nie mógł być drewniany budynek, baliśmy się pożaru. Ale mieliśmy mnóstwo lotniczej benzyny. Oblaliśmy nią te ciała. Jeden z pilotów pracował kiedyś w fabryce fajerwerków w Kentucky. Znał się na pirotechnice. Więc odmówiłem modlitwę, a potem... kazaliśmy mu to zrobić... Natalia zaciągnęła się papierosem.

- John i ja, my też... - Rubenstein z trudem przełknął ślinę. - Lecieliśmy... to było tej nocy... przyplątali się tacy ludzie, mężczyźni i kobiety., bandyci, tak się o nich mówi. Oni...

- Masakra - dokończył za niego Rourke. - No, i co było potem? - Nie doliczyłem się osiemnastu ludzi. - Nękają was dzicy? To dlatego potrzebny był strzelec na wieży?

- Tak. Zabezpieczamy się też przez Rosjanami, jeśli kiedykolwiek się tu pojawią. Mam nadzieję, że nie jesteśmy dla nich aż tak ważni. - Teal próbował żartować, lecz wszyscy pozostali poważni,

zaśmiał się tylko Cole.

- Też dobra nazwa: dzikusy - uśmiechnął się Teal. - Jestem tu jedynym wykwalifikowanym pilotem. Nie mogłem złożyć dowództwa i opuścić bazy. Byłem potrzebny na wypadek, gdyby się okazało, że coś możemy jednak zrobić. Wysłałem czterech ludzi na zwiady. Mieli kombinezony ochronne i wszystko, co trzeba. Powinni byli wrócić. Ale nie wrócili. Ślad po nich zaginął.

Teal zapalił papierosa. Rourke obserwował go, pogryzając następny balonik. Po środku przeciwbólowym, który podała mu Natalia, nie wiadomo dlaczego, stale był głodny.

- Nadal nie mieliśmy więc pojęcia, co się dzieje dookoła. Chcieliśmy się dowiedzieć, co robić w zaistniałej sytuacji. Zdecydowałem się zaryzykować jeszcze trzech ludzi, jeśli zgłoszą się jacyś ochotnicy. - Teal rzucił papierosa i zmiażdżył go obcasem. - Zgłosili się - westchnął. - Wrócił tylko jeden. Wkrótce potem zmarł. Zdażył jeszcze powiedzieć o tych półdzikich szaleńcach, właściwie pół-zwierzętach. Mogłyby to być sceny z kiepskiego filmu fantastycznego...

Rourke przytaknął ruchem głowy.

- Zabili swoje ofiary, paląc je żywcem na krzyżach - dokończył myśl Teal.

- A tamten jak uciekł? - Natalia zgasiła niedopałek na stopniu schodów, gdzie siedziała.

- Podziurawili go jak sito jakąś cholerną dzidą. Myśleli, że zmarł, więc zrzucili go ze zbocza pagórka. Ocknął się zdrętwiały z bólu, cały we krwi. Poczłogał się wzdłuż podnóża. Widział, jak palą się krzyże, słyszał krzyki kolegów. Był twardy. Przeszedł szkołę przetrwania. Wypatrzył samotnego dzikusa i zabił go kamieniem. Zabrał łachy. Dzida posłużyła mu za laskę. Kiedy się tu dowłókł, był ledwie żywy. - Teal przerwał, żeby zapalić następnego papierosa, zerknął na Rourke'a, który stał przed nim. - Był w wieku Fletcha, John. Prawie dzieciak. Umarł mi na rękach...

Rourke zwilżył wargi językiem, kiwnął głową.

- Zostało mi jedenastu - mówił cicho Teal. - Nie chciałem już tracić ani jednego. Postanowiłem siedzieć cicho i czekać. Trzy tygodnie temu jeden z nas, oficer, z tego wszystkiego chyba zwariował. Zastrzelił się. Na koniec Cummins. Wyglądało to na zapalenie wyrostka. John, chłopie, czemu cię tu nie było! Nie mieliśmy lekarza. Próbowałem, powyciągałem wszystkie medyczne książki i próbowałem go ratować. Zmarł.

- Jeśli wyrostek się rozlewa i nikt nie wie, co robić, zakażenie rozszerza się błyskawicznie - stwierdził poważnie Rourke.

- No i tak to poszło - piorunem. Zostało dziewięciu ludzi i ja. Pięciu teraz śpi, jeden ich pilnuje. Trzech innych rozstawiłem na posterunkach wokół bazy. Dałem im najlepszą broń, jaką mieliśmy. No i cały czas strzeżemy bazy - zakończył i zamilkł.

- Dzikusy - powiedziała w zamyśleniu Natalia - sądzą pewnie, że baza jest nadal radioaktywna. Chyba tylko dlatego dotąd nie uderzyli.

- Skoro myśmy tu weszli, na pewno domyśla się, że już można... - zauważył Rubenstein.

- Zaatakować - uzupełnił cicho Rourke.

- Zaatakować - powtórzył jak echo Teal. Nagle odezwał się Cole:

- Jestem tu tylko z powodu rakiet, które przechowujecie. I niezależnie od tego, co zrobią te czubki, dostanę je. Dostanę.

Rourke przyjrzał mu się uważnie. Wiedział, że Cole mówi prawdę.

Rozdział V

- Cała droga pełna Rosjan - wyszeptał Bill Mulliner, ześlizgując się w dół po kamieniach. Sarah przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Dlaczego ich aż tylu? - zapytała.

- Może przez ten konwój, tę kupę śmiecia, na którą my wpadliśmy.

Sarah znów spojrzała na niego.

- Co wieźli?

- Ano wszystko: M-16, nawet stare "czterdziestki piątki". Lekarstwa, jakieś medyczne przyrządy.

Wszystko, co pani chce. Nawet wózki golfowe.

- Wózki golfowe?

- No, te na baterie. Nijak nie rozumiem, na co im wózki golfowe. Jak byłem małym smarkiem, majstrowałem trochę przy jednej takiej maszynie. Nigdy nie dałem rady puścić w ruch tej cholernej kupy złomu... przepraszam za wyrażenie.

Sarah pokiwała tylko głową, patrząc w kierunku skał, pod którymi ukryły się dzieci razem z Mary, matką Billa.

- Wózki golfowe - powtórzyła z niedowierzaniem. - Broń, leki, wózki golfowe. To szaleństwo.

- Tak, proszę pani. Ale były dobrze obstawione. To znaczy te ciężarówki. To była młócka.

Wypruliśmy z nich bebechy... zaś ten mój niewyparzony jęzor...

- Nie szkodzi. - Poklepała go po dłoni z wyrozumiałym uśmiechem.

- Daliśmy im popalić! Podłożyliśmy ogień pod parę wozów, nabrali trochę towaru, no, a potem przypętało się więcej tych ruskich. W helikopterach. Kropili do nas, jak do... pani wie, nie?

- Mhm - mruknęła, zamyślona.

- Może byśmy mogli zakopać się tu w górach...

- Pewnie - roześmiała się Sarah. - Bez żadnych większych zapasów żywności i amunicji. Dwoje dzieci, sześćdziesięciodwuletnia kobieta, ja i ty. Nie sądzę, by to się udało. - Sarah uśmiechnęła się znowu, sama nie wiedząc dlaczego.

- Ruskich pełno jak much nad końskim... - urwał potrząsając głową i zerknął na nią. - Człowiek obraca się tylko między samymi chłopami, do dam nie nawykł - wyjaśnił. - No, pani wie, jak to jest.

- Wiem - ucięła. - Trudno, żebyś wyrażał się jak panienka, kiedy jesteś żołnierzem - objęła go ramieniem. - Och, Bill, tak bym chciała...

- Ja to bym chciał, żebyśmy mieli tak z pięćdziesięciu chłopów zdatnych do walki. Moglibyśmy dać łupnia tym tam na drodze i zabrać im to, co by się nam zdało.

- Ale nie mamy - westchnęła ciężko.

Rozdział VI

Paul Rubenstein znowu czuł się cywilizowanym człowiekiem. Jazda obok kierowcy w kabinie ciężarówki nie była wprawdzie tym samym, co kurs taksówką po Manhattanie, ale w porównaniu z perspektywą pieszego marszu do oddziału desantowego porucznika O'Neala wydawała się prawie luksusem. Rubenstein zerknął w boczne lustro. W kłębach kurzu posuwała się za nimi jeszcze jedna ciężarówka i ambulans. Kierowca siedzący obok niego był Murzynem, zwał się Standish i, według relacji pułkownika Teala, to on był właśnie tym, który podpalił ciała ofiar Nocy Wojny.

- Co to za facet, ten doktor Rourke, panie Rubenstein? - zagadnął kierowca.

- Paul. Na imię mi Paul.

- Ja jestem Art. No więc, jaki on jest?

- Spokojny. Czasami mam wrażenie, że cały w środku aż kipi, ale nigdy nic nie wyłazi na zewnątrz. Trzyma nerwy na wodzy. System samokontroli doprowadził do perfekcji.

- Któryś z tych facetów mówił, że Rourke był w CIA czy czymś takim.

- Przed wojną. Prowadził wiele tajnych operacji w Ameryce Łacińskiej. Potem miał wielką wpadkę. Rzadko o tym mówi. Przypuszcza, że wsypał go podwójny agent. W końcu doszedł do wniosku, że ma już dosyć. Postanowił zająć się czym innym i zorganizował szkołę przetrwania. Prowadził kursy dosłownie na całym świecie. Napisał stos książek o sposobach na przeżycie, o medycynie polowej i o posługiwaniu się bronią. W tej dziedzinie jest chyba specem numer jeden. Czytałem mnóstwo jego książek. Są świetne. Rourke ma spore poczucie humoru, większe w książkach niż w życiu.

- Co wy właściwie, u diabła, tu robicie? - Standish przerzucił przekładnię i skrzynia biegów zgrzytnęła. Wąwóz, w którym pozostawili oddział O'Neala, był oddalony o niecałe dwieście jardów.

- Co robimy? Szukamy sześciu rakiet - odparł Paul.

- Tych doświadczalnych?

- Tak.

- One są kawał drogi stąd, chłopie - Standish roześmiał się i wskazał ręką w kierunku wysokich skał za doliną. Jasne było, co ma na myśli. Wskazywał wprost na tereny dzikusów.

Rozdział VII

Rourke siedział w kabinie prototypu myśliwca bombardującego FB-111HX. Przeprowadzał kontrolę przed startem. Pierwszy raz miał przed sobą ster tego typu maszyny. Teal stał na drabinie i udzielał mu niezbędnych wskazówek.

- To twój komputer naprowadzający - powiedział. Rourke kiwnął głową.

- Gdzie są rakiety, których tak pragnie Cole? - spytał.

- Jakies siedemdziesiąt pięć mil stąd, za terenem dzikusów. - Głos Teala odbijał się echem w pustym hangarze. - Nigdy ich nie wydostaniesz, mając na głowie tych czubków.

- Pewnie masz rację - mruknął Rourke.

- Jedna taka rakietka wystarczy, by zniszczyć miasto wielkości Moskwy i jeszcze kilka wiosek przy okazji. Może właśnie do tego są potrzebne II USA.

- Nigdy w życiu nie przedostanę się przez ten ich cząsteczkowy system obronny - rzucił Rourke, studiując z uwagą deskę rozdzielczą na konsoli po lewej stronie fotela.

- Z tego co mówiłeś ty i ta Rosjanka, wnioskuję, że... Hm... Ci wariaci zewsząd nas otaczają. Tkwimy tu jak w kotle, chyba że stąd wyfruniemy, mam na myśli drogę powietrzną. W razie czego nie zostawię bazy tak, jak stoi, nietkniętej. To byłoby sprzeczne z wszystkim, czego mnie uczono i w co wierzę. Zostawić to wszystko, żeby wpadło w ręce wroga? Nigdy. Nawet gdyby sam prezydent wydał taki rozkaz! A te twoje głowice można wydostać tylko i wyłącznie powietrzem. Znaczy to, że trzeba je przetransportować śmigłowcem do bazy. Tu przenieść na pokład B-52 i zabrać stąd.

- Rosjanie mają sprawną sieć radiową. Mogą namierzyć bombowiec.

- Trzeba będzie zaryzykować. Potem ta cholerna łódź. Znow będzie potrzebny śmigłowiec, żeby przenieść rakiety do ładowni. Ta Rosjanka lata?

- Lata.

- No to polec.

- Nie widziałem tu nigdzie śmigłowców.

- W ostatnim hangarze są trzy - typ Bell OH-58A Kiowas. Należą do armii. Wylądowały tu tuż przed Nocą Wojny. Planowano jakieś manewry, ale nikt już nie zdążył wydać dalszych rozkazów.

- Hangar jest zamknięty? - spytał Rourke.

- Myślisz o Cole'u? Ja mu też nie ufam. Tak, hangar jest zamknięty na cztery spusty.

Rourke znów skupił uwagę na instrumentach pokładowych. Przyjrzał się kontrolkom umieszczonym po prawej stronie pulpitu sterowniczego.

- Uzbrojenie... - mruknął.

Rourke obejrzał się za siebie. Pożyczony hełmofon był niewygodny. Natalia siedziała w jednym z tylnych foteli myśliwca.

- Zdaje się, że chciałeś mnie o coś zapytać - usłyszał w słuchawkach, dziwnie blisko, zmieniony, jakby obcy głos.

- Nie bardzo wiedziałem jak zacząć. - Sprawdził czujniki kamery telewizyjnej, umieszczonej na

kadłubie niemal dokładnie pod kabiną pilota. - Bałem się, że jeśli cię o to spytam, pomyślisz, że straciłem do ciebie zaufanie.

- Chciałeś zapytać, czy Cole jest agentem Moskwy? - domyśliła się Natalia.

- Tak - potwierdził do mikrofonu. - Właśnie tak miało brzmieć pytanie. Zdaje się, że już kiedyś o to pytałem.

- I chcesz się teraz upewnić, czy nie zmieniłam zdania? - Tak.

- To nie Rosjanin. Myślę, że mógłby być sprawnym agentem GRU, ale na pewno nie jest z KGB i nie sądzę, żeby w ogóle był od nas. Na pewno nie pracuje ani dla mojego wuja, ani dla Roźdiestwieńskiego.

- Roźdiestwieński. - Rourke roztarł na języku obce nazwisko, obserwując ekran monitora. - To człowiek, który zajął miejsce...

-... Karamazowa - wpadła mu w słowo.

- Właśnie.

- No to kim on, do diabła, jest? - spytał z rozpaczą John, nie odrywając wzroku od ekranu. Kamera była nastawiona na największą ostrość. Obserwował przez nią ziemię, znajdującą się o tysiące stóp niżej. Widział poruszające się kształty. Z góry ludzie wyglądali jak mrówki. Położył maszynę na skrzydło, pikując w dół, żeby zmniejszyć pułap lotu.

- Nie wiem, kim jest. Nie wygląda na amerykańskiego oficera. Poznałam wielu waszych ludzi i jeśli Cole jest jednym z nich, wydaje mi się bardzo nietypowy.

Rourke wyłączył kamerę i wyrównał lot, ślizgając się teraz niżej nad ziemią. Rzucił okiem na wskaźnik paliwa, a potem na przyrządy nawigacyjne.

- Pod rozkazem był podpis Chambersa - zauważył. - Znam ten podpis.

- Ja też.

- I mogę sobie wyobrazić, że Chambers chce mieć te głowice jako atut przetargowy w rozmowach z waszymi.

- Uhm.

- Ale jest po prostu coś...

- Musiał mieć poparcie Chambersa, żeby dostać łódź podwodną - usłyszał w słuchawkach. - Chodzi mi o komandora Gundersena. On jest w porządku.

- Właśnie - zgodził się Rourke. - Jeśli Cole ma zamiar nas wykiwać, to musiał wcześniej uspić czujność Gundersena, żeby otrzymać jego pomoc.

- Rzygać mi się chce od tego wszystkiego. Teraz jeszcze ten stuknięty facet, którego wysłali po głowice termojądrowe. To paranoja.

- Mówisz po angielsku, ale myślisz jak Rosjanka. Usłyszał jej śmiech.

- Za dobrze mnie znasz. A może my dwoje to właśnie największe szaleństwo, John?

Nie odpowiedział.

Pod nimi, w dole, setki ludzi wściekle wymachiwały karabinami, kijami, włóczniami. W obawie przed strzelaniną poderwał maszynę w górę. Patrzył na cień samolotu sunący po ziemi. Kamera pokazywała coraz większe rzesze dzikusów.

- Paranoja... - wyszeptał w mikrofon. Natalia milczała.

Rozdział VIII

- Wiesz - roześmiał się siedzący obok Rubensteina pilot Stephensen - jak na amatora nieźle sobie radzisz z tym starym pudłem.

Paul Rubenstein wyregulował selektor mocy i zerknął na wskaźnik modulacji.

- Łatwo znaleźć częstotliwość odbiorczą II USA - odparł, walcząc z pokrętłem tłumienia. - Tylko że to oni muszą nawiązać z nami łączność. Jeśli w ogóle odbiorą nasz sygnał.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zaciekał się Stephensen.

- Niedawno zostałem ranny. W szpitalu polowym pełno było instrukcji wojskowych. Nie miałem nic do roboty, więc zacząłem czytać. Potem przez jakiś czas wypoczywałem jeszcze u Johna, w schronie. Tam też czytałem o łączności radiowej i o wielu innych rzeczach.

Rubenstein odstawił krzesło i wstał od stołu ze staroświecką radiostacją. Pomieszczenie, w którym teraz byli, znajdowało się w podziemiach bunkra. Paul przemierzył je wzdłuż i wszerz, rozcierając obolałe plecy i stawy.

- O jakim schronie wspomniałeś? - Stephensen obrócił się na krześle, zaskrzypiało. Zapalił papierosa i rzucił zapalkę do popielniczki, stojącej na stole obok radia. Twarz Stephensena była szeroka, kwadratowa, włosy miały kolor marchwi. Był bardzo wysoki.

- Schronie? - powtórzył Rubenstein. - John spodziewał się wybuchu wojny. Od wielu lat zajmował się tymi sprawami. Myślę, że lepiej niż ktokolwiek rozumiał, co się dzieje na świecie. Kupił kawałek ziemi w górach, w Georgii. Budował swój azyl przez lata. Wszelkie wygody, dosłownie pałac. Musiał w to włożyć fortunę.

- Czym się zajmował przed wojną? Był chirurgiem?

- Nie. - Rubenstein mimowolnie uśmiechnął się. - Nie, nigdy nie prowadził samodzielnej praktyki. Był w CIA.

- Centralnej Agencji...

- Tak. Ale skończył z tym. Poświęcił się organizowaniu szkoły przetrwania. Pisał książki. Szły jak woda. Każdy zaoszczędzony grosz John inwestował w schron. Kiedyś powiedział mi, że przez cały czas miał nadzieję. Myślał, że jednak nie dojdzie do tego wszystkiego, że schron pozostanie jedynie bardzo kosztownym letnim domkiem. Ten jeden jedyny raz w życiu, w jednej ze spraw, którym się poświęcał, chciał, by się okazało, że nie miał racji. Wyszło na odwrót - zakończył niezręcznie Rubenstein.

- To już chyba koniec świata.

- Dlaczego tak myślisz?

- W Biblii Bóg zapowiedział koniec świata. Ziemię ma pochłonąć ogień. A broń jądrowa... widziałeś. Zginiemy wszyscy. Myślę, że to kara Boża za to, że chcieliśmy wiedzieć zbyt wiele, tak jak Adam i Ewa w Raju.

- Znam Biblię.

- Więc wiesz, o co mi chodzi. - Stephensen spojrzał na Paula.

- Tak. Wiem.

Rubenstein podszedł do radiostacji, odwrócił krzesło, siadł na nim okrakiem i zaczął znów dostrajać radio.

- Zobaczymy, czy ten gruchot działa - westchnął.

W tej samej chwili za jego plecami otworzyły się drzwi.

Dwaj ludzie Cole'a celowali do nich z M-16, a Cole trzymał przed sobą automat kalibru 45.

Rubenstein spojrział w ciemny wylot lufy. Rękę trzymał nadal na włączniku radia, nie zdążyłby wyciągnąć broni z kabury pod pachą. Postanowił zagrać na zwłokę.

- Czego pan chce, kapitanie?

Prawa ręką Paula bardzo wolno zaczęła się przesuwać w kierunku regulatora częstotliwości. Trzy skoki gałki i znajdzie pasmo Rourke'a. Lewym łokciem próbował wcisnąć guzik uruchamiający mikrofon.

- Jedno czego nie chcę, panie Rubenstein - powiedział Cole - to to, żebyście nawiązali łączność z kwaterą główną USA II.

Regulator przeskoczył raz.

- Czemu nie?

- Wywołałby pan małe zamieszanie. Mogliby nie zrozumieć, o co nam chodzi.

Drugie pstryknięcie. Jeszcze jedno i słyhać ich będzie w kabynie samolotu Rourke'a.

- Gdzie, do diabła, jest pułkownik Teal?

- Wróciliście wcześniej niż ranni. Musieliśmy na nich poczekać. Mamy teraz was wszystkich.

Rubenstein spróbował wstać, nadal opierając łokieć o guzik w podstawie mikrofonu. Usłyszał trzecie pstryknięcie.

- Gdzie jest Armand Teal? Jego też pan zabił, Cole? Pytanie sformułowane zostało tak, by ostrzec Rourke'a, jeżeli był na nasłuchu. Rubenstein nie pragnął odpowiedzi. Wiedział, że i tak właśnie wydał na siebie wyrok śmierci.

Rozdział IX

- Mamy Teala. Resztę postawiliśmy pod ścianą i zlikwidowaliśmy. Teal przyda się jako zakładnik. Kiedy Rourke i ta jego rosyjska suka wrócą, nie polecą za nami. Nie będą ryzykować, że rozwalą Teala. Teraz ja trzymam rękę na pulsie.

Rourke zacisnął ręce na sterach. Samolot wykonał gwałtowny zwrot.

John spojrział na Natalię, potem na przyrządy. Oba głosy dobiegły do niego równocześnie:

- ... nie sądzę, żeby John oddał panu te rakiety.

- Niech no tylko spróbuje. Kiedy już je dostanę, powędrują tylko w jednym kierunku: w górę.

W słuchawkach rozległy się trzaski. Rourke sprawdził wysokość, potem zerknął na szybkościomierz. Głos Paula:

- Pan... Z zimną krwią zabiłeś Stephensena, ty kanalio! Głos Cole'a:

- Zimna krew czy ciepła - co za różnica? - Odgłos strzału z pistoletu.

Głos Natalii:

- Zastrzelił Paula!

Szum, odgłos zamykanych drzwi. Znów szum. John Rourke bezradnie zacisnął pięści. Do oczu napłynęły mu łzy.

Rozdział X

Czuł, że ktoś dotyka jego ramienia. To już nie był sen.

- Towarzyszu generale! Towarzyszu generale! Otworzył oczy i uniósł głowę.

- Co?... O co chodzi, dziecko?

- Zasnął pan, towarzyszu generale - tłumaczyła dziewczyna. - Już późno. Powinien pan się położyć.

Przeciągnął się. Jakiś dokument zsunął się z biurka. Dziewczyna podniosła go, przydeптując zbyt długą spódnicę.

- Jesteś moją sekretarką, Katiu, a nie moją matką. Chociaż oczy masz właśnie takie jak ona.

Zarumieniła się.

- Która godzina?

- Prawie ósma trzydzieści, towarzyszu generale. Warakow rzucił okiem na własny zegarek i potwierdził skinieniem głowy.

- Zgadza się. Czy były jakieś doniesienia w czasie, gdy ja tu...

- Od szóstej nie było żadnych wieści, towarzyszu. Ani o major Tiemerownej, ani o tych Amerykanach: Rourke'u i Rubensteinie.

Warakow rozejrzał się po swoim gabinecie, urządzonym w bocznym skrzydle Muzeum Historii Naturalnej. Środek ogromnej sali zajmowały wielkie mastodonty. Mrok rozpraszała tylko żółta lampa na jego biurku i światło przy obitych blachą drzwiach wejściowych, przy których stał wartownik. Warakow wstał, z trudem wpychając opuchłe stopy w buty i podszedł do mastodontów. Sprawiały na nim przygnębiające wrażenie.

Tuż za sobą posłyszał stukot obcasów dziewczyny.

- Człowiek się stara - mruknął.

- Słucham, towarzyszu generale?

- Człowiek się stara. Mam pewną wiedzę, wiedzę, którą chciałem się podzielić, żeby ocalić możliwie jak najwięcej ludzi. Teraz to niemożliwe. Zostało tak mało czasu. Jeżeli tylko uda się znaleźć Rourke'a, jeżeli moja siostrzenica jeszcze żyje, może przynajmniej część...

- Nie rozumiem, towarzyszu generale.

Warakow odwrócił się. Patrzył na jej twarz, która przybierała wyraz wciąż rosnącej niepewności. Bloczek stenograficzny, który nosiła z przyzwyczajenia, upadł pomiędzy nich. Ołówek stuknął lekko o kamienną posadzkę.

- To dobrze, że nic nie rozumiesz - powiedział. - To dla ciebie błogosławieństwo, dziecino. - Ojcowskim gestem pogładził jej włosy.

Zamknął oczy. Pod powiekami pozostał mu obraz wymarłych zwierząt, bardziej żywy teraz niż kiedykolwiek przedtem.

Rozdział XI

- Co będzie, jeśli Cole domyśli się, że Paul przełączył radio na naszą częstotliwość i zaczął się na nas? - zapytała Natalia.

- Aż tak sprytny nie jest - syknął Rourke. - A jeśli jest - zabiję go.

Zmniejszył dopływ paliwa do silnika samolotu. Zdjął hełmofon, aby lepiej słyszeć Natalię. Samolot wylądował.

- Zabiję go! - powtórzył, wychodząc z kabiny.

Zbliżali się do pierwszego hangaru. Rourke wydobył i odbezpieczył Detonics'y. Natalia szła o krok za nim, zaciskając w dłoniach pistolety. Ubrana była w najmniejszy męski kombinezon, jaki udało się im znaleźć. W wysokie buty wpuściła przykrótkie nogawki. Kombinezon, choć za luźny w talii, to wyżej mocno opinał kształtne piersi. Rourke myślał o Cole'u. Jeśli Cole zaczął się na nich, a nie było go na lotnisku, to mógł wybrać na miejsce zasadzki albo hangar, albo pomieszczenie radiostacji, gdzie zastrzelił Paula i tego drugiego.

Drzwi hangaru były otwarte.

- Zaczekaj! - rozkazał Natalii.

- Wypchaj się ze swoim czekaniem - odpaliła. - Szwy są w porządku. Zresztą tutaj nie będę musiała ganiać jak chart, żeby sobie postrzelać.

John spojrzał na nią z uśmiechem. Lubił w niej właśnie to, że tak krnąbrnie przyjmowała rozkazy.

- Rób, jak uważasz - rzucił wymijająco, nie zatrzymując się.

- Mogę obejść ich od tyłu.

- Jest ich tylko trzech. Trzymaj się mnie.

“Tylko trzech. W najlepszym przypadku uzbrojonych w karabiny maszynowe” - pomyślał.

Zatrzymał się przy drzwiach hangaru, zaciskając dłoń na pistolecie. Prawie chciał, żeby Cole czekał w środku.

Natalia spoglądała na niego wyczekująco. Rourke porozumiewawczo skinął głową i skoczył w drzwi, dziewczyna za nim. Skulił się, trzymając broń na wysokości bioder.

- O Boże! - szeptała ze zgrozą Natalia. Patrzył na ciała spiętrzone pod ścianą.

- Myślałem, że dobrzy komuniści nie wierzą w Boga. Ruszył ostrożnie do przodu, przeszukując wzrokiem wielki, nakryty metalową kopułą budynek. Ani śladu Cole'a.

- Gdybym była dobrą komunistką, nie byłabym tutaj. - Skórzana kabura skrzypnęła, gdy Natalia chowała broń.

Pod ścianą leżały ciała rozstrzelanych żołnierzy O'Neala i członków załogi Filmore. Zabici leżeli w dziwacznych pozach z poskręcanyimi rękoma i nogami. Niektórzy patrzyli jeszcze szklistym wzrokiem. Żaden z nich nie dawał znaku życia. Byli teraz jedną krwawą masą.

- Co za rzeźnik! - wyszeptała dziewczyna. Rourke spojrzał na nią.

- Tak. Rzeźnik.

Znow przyjrzał się zwłokom i wtedy nagle coś dostrzegł. Błyskawicznie zabezpieczył oba

pistolety i wrzucił je do kieszeni kombinezonu, rzucając się na klęczki w kałużę krwi.

- Uważaj na szwy.

- Dobra - rzuciła niecierpliwie.

Marynarz: trzy strzały w pierś, jeden w głowę. Pilot: dwa strzały w szyję, dwa w brzuch, jeden w głowę.

- Dobijali każdego strzałem w głowę!

- Tak - wychrypiał.

Odsunął ostatnie ciało. Na samym spodzie, ranny w szyję, leżał porucznik O'Neal. Z rany płynął, rytmicznie pulsując, strumień krwi.

- On żyje.

- Poszukam apteczki! - krzyknęła Natalia już w biegu.

Natalia Tiemerowna szła szybkim krokiem. Piekły ją szwy, piekło krocze, gdzie zaczynały odrastać zgolone do operacji włosy. Zastanawiała się, czy to Rourke ją golił. To było w jego stylu: nie dopuścić, żeby kto inny ją oglądał. Śmiejąc się w duchu z własnego zażenowania, uświadomiła sobie, że nie ma śmiałości go zapytać.

Był jeszcze w hangarze. Starał się uchronić O'Neala przed wykrwawieniem się na śmierć.

Przeszła jeszcze parę kroków, trzymając przed sobą automat. Zapasowe magazynki obciążały jej kieszenie. Czowała się niepewnie. Zatrzymała się. Drzwi głównego bunkra były zamknięte, a na trzecim piętrze, licząc w dół, znajdowało się pomieszczenie radiowe, a w nim Paul - z pewnością martwy.

W korytarzu paliły się jarzeniówki. Ostrożnie zeszła ze schodów. Pusto. Pokój radiostacji był na samym końcu, była tam, zanim wystartowała z bazy. Westchnęła ciężko. Wtedy tak bardzo się śpieszyła, że w biegu rzuciła Paulowi: "cześć". Żałowała teraz, że nie pocałowała go na pożegnanie. Rourke był dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Paul był przyjacielem, powiernikiem, kimś, kogo lubiła i podziwiała. Natalia ze ściśniętym gardłem zbliżała się do drzwi.

Wyciągnęła rękę w kierunku klamki. W drugiej zaciskała gotową do strzału "szesnastkę". Nacisnęła klamkę, kopniakiem otworzyła drzwi.

Radio wciąż było włączone, błyszczały światełka.

- Nieostrożnie - mruknęła pod adresem Cole'a.

Weszła głębiej. Na podłodze leżało ciało lotnika. Kula strzaskała mu czaszkę. Paul siedział przy stole z głową opartą o blat. Natalia zatrzymała się koło stołu z aparaturą. Dotknęła głowy Rubensteina, plamiąc krwią palce. Odłożyła broń na stół i ujęła jego głowę w obie ręce.

Otarła mu twarz dłonią i dostrzegła, że nieruchome powieki drgnęły.

Kula musiała ześlizgnąć się po czaszce. Nie bacząc na krew, Natalia przytuliła jego głowę do piersi.

- Paul... Dzięki ci, Boże - wyszeptała zdumiona własnymi słowami.

Rourke przyglądał się twarzy O'Neala. Porucznik był bardzo słaby, nadal nieprzytomny, ale był to już raczej sen niż agonia. John opatrzył głęboką ranę na szyi i krwawienie ustało. "Będzie żył" - pomyślał.

Za jego plecami rozległ się hałas silnika. Rourke sprężył się, sięgnął po pistolety i odbezpieczył je. Nagle osłupiał ze zdziwienia. Za kierownicą jeepa siedziała Natalia, a obok niej, trzymając się za głowę...

- Paul...? - wyszeptał doktor.

To, że przyjaciel żyje, wydało mu się cudem. Nie zmniejszyło to jednak winy Cole'a. Wyrok

zapadł.

- Paul! - Tym razem Rourke krzyknął na cały głos. Rzucił się biegiem naprzeciw nadjeżdżającego jeepa, który z piskiem hamulców zarzucił na betonowej podłodze hangaru i zatrzymał się gwałtownie. Dziewczyna wyskoczyła zza kierownicy. John oddał jej pistolety, z którymi nie miał co zrobić i wpadł do kabiny, żeby sprawdzić, co z Paulem.

Kiedy pośpiesznie zdierał prowizoryczny opatrunek, w pamięci zamajaczył mu podobny przypadek.

- Masz twardy łeb, chłopie - oznajmił przyjacielowi, który uśmiechnął się z wysiłkiem. Parę lat temu, w Chicago, policjant strzelał do gościa, który nacierał na niego nadłuczoną butelką czy czymś takim. Zwykła procedura - wołanie "stój", ostrzegawczy strzał - nie dały rezultatu. W końcu nie miał wyjścia. Strzelił, kula poszła za wysoko, a facet miał wysokie czoło, tak jak ty. Pocisk uderzył w to czołko i ześlizgnął się. Kaliber 45. Ten z butelką wystraszył się śmiertelnie i nawiał, a gliniarz chyba umarł na atak serca, kiedy zobaczył, że kula z "czterdziestki piątki" nie położyła tamtego na miejscu. To samo z tobą. Kula uderzyła tutaj, z prawej strony - dotknął lekko rany - i ześlizgnęła się. W filmach nazywają to zdartym skalpem.

Rubenstein skrzywił się.

- Cholera - wymamrotał. - Czuję się, jakby mnie ktoś walnął młotem kowalskim.

- Piętnaście gramów ołowiu nie jest najlepszym sposobem na poprawienie samopoczucia - roześmiał się Rourke, wciąż badając ranę. - Teraz powiedz mi wszystko, co wiesz o zamiarach Cole'a. Wszystko, czego nie słyszeliśmy przez radio. Czeka! - Rourke odwrócił się w stronę podejrzanie uśmiechniętej Natalii. - Z czego się śmiejesz?

- Z was, panowie. Jesteście dla siebie jak bracia, ale opowiadacie sobie męskie historyjki, podczas gdy najchętniej padlibyście sobie w objęcia. Nienormalni!

- Zamknij się! Lepiej przyniosłabyś apteczkę!

- Mhm. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Myślę, że albo Cole już wydusił z Teala informację, gdzie są rakiety, albo zrobi to wkrótce.

- Czytasz za dużo amerykańskich kryminałów, Paul - przerwała Natalia. - "Wydusił"?

Rourke przesunął cienkie, czarne cygaro w lewy kącik ust.

- Pomijając figury retoryczne, pozostaje faktem, że Paul dość dokładnie określił sytuację.

Siedzieli rzędem na długiej skrzynce narzędziowej w kącie hangaru. Natalia w środku.

- Ale ten Teal - zaczęła Natalia, zwracając się do Rourke'a - robi wrażenie twardziela. Mając kompletny zestaw narkotyków, podjęłabym się wydobyć z niego co nieco. Natomiast ten durny Cole...

- Durny? - stwierdził z ironią John. - Wyczekał, aż trafi się optymalna szansa, dostał się na pokład łodzi podwodnej, posługując się sfałszowanym lub skradzionym rozkazem. Jest na tyle durny, że jeśli będziemy go ścigać, zabije Teala i w ten sposób trzymać będzie nas w szachu, a w końcu, na dowód swojej głupoty, przejmie kontrolę nad sześcioma rakietami!

- Dlaczego, do diabła, w ogóle robią rakiety z takimi wielkimi głowicami? - wtrącił się Paul.

- Mam mu powiedzieć? - zapytała Natalia, tym razem bez uśmiechu.

Rourke pokiwał głową.

- Widzisz, Paul. - Natalia mówiła spokojnie, cierpliwie jak do dziecka. - Widzisz, przez jakiś czas myślano, że im większa głowica, tym lepsza i doskonalsza broń. To było, zanim jeszcze wasz kraj rozpoczął badania nad poprawieniem precyzji systemu sterowania rakietami, tak jak w przypadku rakiet MX, które wywołały tyle krzyku. Mniejsza głowica, która dawała mniej efektów

ubocznych i miała większą moc niszczącą w odniesieniu do twardych celów niż coś wielkiego i niedokładnego. Tamte głowice nadawały się tylko do celów miękkich.

- Miękkie cele? - W oczach Rubensteina odmalowało się zdziwienie.

- Miękki cel to gęsto zaludniony obszar, zwykle miasto - wyjaśnił Rourke. - Twardym celem może być silos raketowy, bunkier sztabu armii, coś, co jest skonstruowane tak, że wytrzyma wszystko z wyjątkiem bezpośredniego trafienia.

- No więc, jeśli kapitan Cole wie wystarczająco dużo, żeby przejąć kontrolę nad raketami z głowicami o sile ośmiu megaton...

- Wtedy musimy brać pod uwagę - przerwał Natalii doktor - że wie również, jak je wystrzelić i ma już upatrzony cel.

- To dlaczego tu siedzimy? - zerwał się Paul.

- Nie zabije Teala, dopóki nie dowie się, gdzie są głowice - dodała Natalia.

- Wolniej: Teal mówił mi, że są tu śmigłowce w zamkniętym hangarze. Natalia miała sprawdzić resztę hangarów, kiedy ja opatrywałem ci ranę.

- Jeden był zamknięty. Przestrzeliłam zamek i sprawdziłam. Były tam trzy śmigłowce OH-58A Kiowas. Obwody drukowane zniszczone przez falę elektromagnetyczną, ale najwyraźniej Teal je naprawił. Z trzech maszyn dwie mogą wystartować. Trzeci helikopter był chyba właśnie w naprawie, widocznie Teal nie zdążył.

- Sądzę, że kiedy Cole dowie się od Teala tego, czego chce, nie zabije go tak od razu. Mogłoby się przecież okazać, że Teal go oszukał albo że potrzebny jest szyfr wejściowy. Zatrzyma go na wszelki wypadek. Ma przed sobą siedemdziesiąt pięć mil drogi. Musi mieć czas na rozpracowanie Teala. Poza tym ma tylko dwóch ludzi. Jak obroni się przed dzikusami? Wieczorem powinien być na miejscu. Wystartujemy po zapadnięciu zmroku i rozejrzemy się za nimi, a potem zrobimy to, na co pozwoli nam sytuacja.

- Albo czego będzie wymagała - wtrąciła Natalia.

- Z powietrza - Rourke wstał i przesunął w ustach wygasły niedopalek cygara - widzieliśmy dzikusów. Wyglądali na gotowych do ataku. - John zerknął na czarną tarczę Rolexa. - Mogą tu być za godzinę, może półtorej. Natalia ma wykonać próbne loty tych dwóch maszyn. Ty, Paul, zostaniesz tutaj z porucznikiem O'Nealem. Kiedy Natalia wróci, powie ci, co zrobić z O'Nealem. Potem przyleci po mnie. Tymczasem ja wezmę myśliwca i postraszę dzikich, skoro sami się pchają. Spuszczę im parę bomb. Potem maszynę z pełnym zbiornikiem ukryję gdzieś w pobliżu. To będzie nasz bilet powrotny. Stamtąd zabierze mnie Natalia. Wy z O'Nealem na jakiś czas zostaniecie sami. Musisz docucić go na tyle, by pomógł ci uszkodzić resztę maszyn. Nie chcę, żeby dzikusy dorwały się do jakiegokolwiek latającego sprzętu. Baza i tak jest spisana na straty. Kiedy wrócimy, przygotowujemy magazyn amunicji i arsenał do wysadzenia w powietrze.

- A nam nie mogłoby się to przydać?

- Biorę myśliwiec bombardujący, Paul. Ładownia jest całkiem pusta. Zanim wystartuję, załadujemy z Natalią trochę M-16, parę "dwieście dwudziestek dwójek", może trochę granatów i materiałów wybuchowych, trochę środków opatrunkowych i leków. Wpakujemy to wszystko na pokład. Zostawimy tylko miejsce na motocykle, jeżeli uda się nam je ściągnąć z łodzi podwodnej.

- To musi być cholernie duży samolot. - Rubenstein spróbował wstać, nie udało mu się i opadł ciężko z powrotem, trzymając się za głowę.

- Odpocznij jeszcze chwilę - poradził Rourke. - Tak, samolot jest spory. Ale równocześnie na

tyle mały, że w razie potrzeby mogę nim wylądować na byle jakim polu i wystartować z powrotem. FB-111HX jest nie zastąpiony w takich przypadkach.

- Mogę wam pomóc w ładowaniu.

- On ma rację - poparła Paula Natalia. - Przewieziemy go do samolotu, wsadzimy na pokład i może układać ładunek. Wcale nie musi wstawać. Poza amunicją nie będzie żadnych skrzyń, a osiemset sztuk nabojów można swobodnie podnieść siedząc albo klęcząc.

- Zgoda. - Rourke pochylił się i pomógł Paulowi wstać. Zerknął na O'Neala. - Za jakieś dwadzieścia minut przypomnij mi, żebym go zbadał. Natalia kiwnęła głową, podtrzymując Paula z drugiej strony.

Rourke wdrapał się na pokład myśliwca. Rubenstein był już z powrotem w hangarze z O'Nealem, a Natalia - w powietrzu, testując pierwszy sprawny śmigłowiec. John spojrzął na zegarek. Minęła godzina. Paul wydawał się teraz silniejszy, jak gdyby właśnie umiarkowany wysiłek pomógł mu wrócić do formy.

Rourke wyrzucił niedopałek cygara przez drzwi ładowni i raz jeszcze objął wzrokiem jej zawartość. Dwadzieścia metalowych skrzynek z nabojami kalibru 223, dwadzieścia pistoletów maszynowych M-16A1, niewielka ilość materiałów wybuchowych, leki i środki opatrunkowe. Pięćdziesiąt kartonów papierosów dla Natalii. Plastik i większość materiałów wybuchowych pozostawiono w bazie. Miały posłużyć do wysadzenia arsenału i magazynu amunicji. Rourke spakował też karabin snajperski Teala i jego rzeczy osobiste - ubrania, pamiątki, fotografie rodzinne. Kierowała nim nadzieja, że może jakimś cudem uda mu się ocalić przyjaciela. Nadzieja była nikła, ale i tak ten dodatkowy bagaż zajmował niewiele miejsca.

Doktor zasunął drzwi, zabezpieczył je i powlókł się ku przodowi samolotu. Był już tym wszystkim bardzo zmęczony, ale życie nie pozostawiało mu wyboru. Przypiął się pasami do fotela i zaczął przekręcać kolejne włączniki.

Z wymuszonym spokojem przyglądał się wskaźnikom. Ciśnienie oleju powoli rosło.

Rozdział XII

Maszyna wystartowała. Rourke odszukał przełącznik na małej konsoli po lewej stronie i schował podwozie samolotu. Sięgnął dalej w lewo, ustawił przepustnice, potem uregulował dopływ tlenu. Sięgnął w prawo i zmniejszył ogrzewanie kabiny. To samo ze skafandrem. Był zmęczony, nie mógł ryzykować, że zaśnie za sterami. Spojrzał na wskaźnik przed sobą. Proporcje mieszanki były optymalne. Sprawdził tablicę rozdzielczą celownika po lewej stronie i tablicę manewrową przed sobą. Przez moment wydawało mu się, że czuje drgania kadłuba. Oznaczałoby to problemy. Nie, wszystko w porządku. Wciąż jeszcze oswajał się ze sterami nie znanej dotąd maszyny. Prawa dłoń lekko, delikatnie przesunęła drążek.

- Dobrze - wyszeptał sam do siebie.

Detektor podczerwieni potwierdził to, co John zobaczył już wcześniej. U wylotu sąsiadującej z bazą doliny stały krzyże, otoczone płonącymi stosami. Przemknął nad nimi z prędkością półtora macha. Położył samolot w ostry zakręt w prawo i, cały czas nabierając wysokości, uzbroił wyrzutnię rakiet Sidewinder i załadował karabin maszynowy. Wyrównał lot. Przełączył wizję z podczerwieni na zwykłą kamerę telewizyjną, a wyrzutnię pocisków na sterowanie ręczne. To zadanie chciał wykonać samodzielnie, bez pomocy automatów.

Zmniejszył szybkość, przez chwilę leciał poziomo, potem zanurkował. Umieszczona tuż za dziobem samolotu kamera pokazała mu tłum uzbrojonych dzikusów.

Przygotował rakiety do odpalenia.

Kiedyś zdarzyło mu się pilotować otwarty dwupłatowiec. Wyobraził sobie teraz ciąg powietrza, który przy tej prędkości rozszarpałby ciało na strzępy, zabiłby lodowatym zimnem. Ale jednocześnie był znakiem wolności: unosić się wysoko w niebiosach, daleko od targanej konfliktami ziemi...

Obniżył lot, przygotowując się do ataku. Daleko na horyzoncie zauważył blask, wstęgę purpury. Kolory słońca zachwyciły go nagle. Oto sięgnął tej ziemi i wdzierał się w nią ostrzem śmierci. Uśmiechnął się sam do siebie. Przed czterdziestką stawał się poetą i to w takiej sytuacji.

- Niech was szlag trafi... - szeptał do tych na dole, kładąc palec na zwalniającym rakietę przycisku.

Szarpięcie, huk, świst, fontanna dymu. Rakietka wyleciała z luku bombowego i poszła w sam środek niehumanitarnej, oszalałej tłuszczy.

Rourke poderwał maszynę do góry, zostawiając na dole wzniecone przez eksplozję kłęby białego dymu. Samolot nabralł wysokości. Wykonał zwrot, słysząc, jak część ładunku lekko się przemieszcza. Znowu wyrównał lot, uzbroił następną raketę i runął w dół.

Dzicy biegli. Nie rozróżniał ich twarzy. "Tym lepiej" - pomyślał. Przecież i tak znał te twarze. Ich obraz był zaprzeczeniem zdrowego rozsądku. Stanowił świadectwo odwrócenia biegu cywilizacji albo przekroczenia tego progu rozwoju ludzkości, za którym człowiek stawał się samobójcą, a historia wracała do prapoczątków. Wykonał pętlę, która wyglądała jak hołd dla tych na ziemi. Poczł przeciążenie. Jak burza przeszedł nad doliną. Kule odbijały się od gruntu. Ludzie

biegali, padali. Przemknął ponad nimi. Znikli mu z oczu.

Zamknął luki i zabezpieczył uzbrojenie. Wyszedł w górę. Jeszcze jedna pętla i wreszcie poziomy lot.

Odetchnął. Zastanawiał się, ilu zabił. "Minimum dwie trzecie" - ocenił. Teraz musiał oszczędzać paliwo. Musiało starczyć go na wiele godzin lotu. Chciał przecież zabrać przyjaciół do schronu, a potem jeszcze znaleźć żonę i dzieci. Teraz mógł sobie pozwolić na chwilę wytchnienia.

Rozdział XIII

Nehemiasz Roźdiestwieński był sam. Mroźne powietrze przenikało jego ciało przejmującym dreszczem. Uparta świadomość śmierci nie dawała mu spokoju. Był niejedyn raz w śmiertelnym niebezpieczeństwie: z garstką ludzi, wobec przewagi liczebnej wroga, w trudnym terenie, sam na sam z ludźmi, którym nie ufał. Ale nigdy dotąd nie stanął, jak teraz, twarzą w twarz z widmem śmierci. Zawsze dotąd pozostawała mu choć iskra nadziei. Nie chciał umierać.

Spojrzał w czyste, zimowe niebo. Jeśli był tam Bóg, musiał go usłyszeć. Musiał go wysłuchać.

- Nie!!! - krzyknął. Jego krzyk przetoczył się ciężkim echem po stokach i wąwozach.

Przed oczyma miał ciągle ten sam obraz: walcowaty sarkofag spowity niebieskawą, świetlistą mgłą. Człowiek poddany doświadczeniu nie umarł. Zrobił coś znacznie bardziej okrutnego: żył z martwym mózgiem.

Karamazow, przyjaciel Roźdiestwieńskiego, od dawna szukał właściwego rozwiązania zagadki przeżycia. Amerykanie musieli znać odpowiedź, musieli mieć jakiś sposób. Noc Wojny to potwierdziła. Gdyby nie potrafili przeżyć, wówczas to, co zrobili, trzeba byłoby interpretować jako gest skrajnej rozpacz.

Stanął u podnóża góry, która w eksperymencie miała pełnić rolę "Łona". Wszystko na nic. Brakowało mu tylko jednego ogniwa w łańcuchu - najważniejszego.

Roźdiestwieński nauczył się żyć. Żył inaczej niż inni ludzie. Nie kochał żadnej kobiety, kochał się z wieloma. Nie poprzestał na spokojnej, bezpiecznej posadzie, ale wspiął się na wyżyny. Przyjął brzemie najwyższej odpowiedzialności. Ciężko pracował. Wszystko po to, by teraz dowiedzieć się, że w obliczu śmierci nic nie ma sensu. Nauczył się żyć. Nie umiał umrzeć.

Rozdział XIV

- Pożałujesz tego, Cole - wysapał Teal.

Kapitan odwrócił się i uderzył go pięścią w twarz. Z rozbitej wargi trysnęła krew.

- Skurwiel! - wykrztusił pułkownik.

- No cóż, Teal - zarechotał Cole. - Powiesz mi albo przekonasz się, na co mnie jeszcze stać.

Cole przyglądał się przez chwilę, jak Teal szarpie wojskowe kajdanki, którymi przykuty był do pnia sosny. Niedaleko bzykał jakiś owad. Cole machnął ręką i obejrzał się przez ramię, żeby znaleźć źródło natrętnego dźwięku. Postłyszał głośny śmiech Teala.

- Prawdopodobnie nie wyjdę z tego. Ale ty też nie.

Cole nie odwrócił głowy. Powoli, starając się zapanować nad sobą, powiedział:

- Armitage, ucisz go. Daj mu pięścią w brzuch, jeżeli będziesz musiał.

Za nimi, na wzgórzu, pojawiła się obława dzikusów. Cole zaczął ich liczyć. "Będzie ze dwie setki" - pomyślał. Otaczali ich.

Promienie słońca padały ukośnie. Owad wciąż brzęczał, ale teraz Cole nie śmiał drgnąć w obawie, że sprowokuje atak dzikich. W tej samej chwili zobaczył krzyż. Potem następny i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Cztery krzyże. Dzicy stawiali je na pagórku.

Teal śmiał się znowu. Cole odwrócił się i wbił kolbę karabinu w jego brzuch. Pułkownik padł na kolana, zawisając na wykręconych do tyłu rękach. Zwymiotował. Twarz miał kredowobiałą.

Cole odwrócił się i znów spojrzał na wzgórze. Zapalano ogniska. Rozległa się dzika, nieludzka, mordercza pieśń. Cole poczuł, jak dreszcz trwogi przebiega mu po plecach.

- Chcę mówić z waszym wodzem - powiedział.

- Nie pieprz. Mówi się: zawleczenie mnie do waszego wodza. - W głosie Teala słychać było bolesne szyderstwo.

- Chcę spotkać się z waszym wodzem - zawołał ku dzikim Cole. - Mogę mu dać potęgę. Nadludzką potęgę. Większą niż kiedykolwiek marzył. Potęgę nuklearną. Władzę nad życiem i śmiercią.

Echo tych słów wróciło do niego ze wzgórza. Trzaskało ognisko. Nie było odpowiedzi, ale też nie nastąpił atak. Słońce już zachodziło i zerwał się lekki wiatr. Cole słyszał wokół tylko szelest liści.

W spotniałych dłoniach ścisnął mocno automat.

Rozdział XV

Wreszcie skończył szamotaninę z siatką maskującą i odsunął się o parę kroków od samolotu, aby ocenić efekt. Był zadowolony. Oczywiście ktoś, kto zapędziłby się na odległość bliższą niż dwadzieścia pięć jardów, w dziennym świetle zauważyłby maszynę. Ale z powietrza albo z większej odległości, samolot był zupełnie niewidoczny. Zabrakło mu, co prawda, gałęzi. Winę ponosił toporek znaleziony w zestawie awaryjnym - nie był wydajnym narzędziem do cięcia drzew. Braki Rourke zamaskował w niemal artystyczny sposób trawą. Pomyślał o żonie. Była artystką. Zbierała nagrody za ilustracje książek dla dzieci. Zastanawiał się, czy jeszcze żyje, czy żyją ich dzieci?

- Kiedy już skończy z Cole'em...

Wzdrygnął się. Powietrze przeciął narastający hałas wirników śmigłowca. Mogła to być tylko Natalia. Skafander i hełm Rourke'a, razem z rzeczami Natalii i Paula leżały już spakowane w samolocie. Zostawił przy sobie tylko skórzaną kurtkę i niezbędną broń. Drut kolczasty, wieńczący ogrodzenie Bazy Lotniczej Filmore, pozostawił na skórze kurtki parę nowych zadrapań, ale nie rozdarł jej. John ubrał się, chwycił pas z kaburą Pythona i automat. Nie zatrzymując się, żeby zapiąć pas, popędził na drugi koniec polany. Wir powietrza wywołany śmigłami helikoptera mógł zniszczyć jego dzieło. Musiał temu zapobiec.

Rourke ocknął się. Popatrzył na Natalię nachyloną nad sterem.

- Jak długo spałem? - Ziewnął do mikrofonu.

- Około dwudziestu minut. Zastanawiam się, John, czy kiedykolwiek słyszałeś, jak ktoś ci chrapie w słuchawki?

- Słyszałem - roześmiał się. - Przepraszam.

- Łądujemy za dziesięć minut. Mam dobre wieści. Szkoda, że ci wcześniej nie powiedziałam. Zająłbyś się obmyśleniem planu akcji i nie musiałabym słuchać twego chrapania.

- Co to za wieści? - Przeciągnął się, usiłując zająć wygodniejszą pozycję. - Związek Sowiecki się poddał?

- Wybacz, ale tego nie nazwałabym dobrą wiadomością.

- Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać.

- Wciąż istnieją między nami różnice światopoglądowe - stwierdziła.

- Zdaje się, że mają coraz mniejsze znaczenie.

Uśmiechnęła się, patrząc na niego. W zielonkawej poświacie tablicy rozdzielczej jej oczy były tak niebieskie, że przypominały czystą wodę wieczornego stawu. Miał ochotę się w nich pogrążyć.

- Racja - przyznała. - Naprawdę znaczą coraz mniej.

- No więc, co to za dobre wieści?

- Wykorzystując swoje liczne umiejętności, zaoszczędziłam mnóstwo czasu. Rozszyfrowałam parę rozkazów, które leżały w sejfie. Dotyczyły okresowych remontów silosa raketowego, a potem znalazłam koordynaty.

- Miałaś kupę roboty. Kiedy zdążyłaś...

- Pułkownik Teal musiał przeprowadzić loty kontrolne po naprawieniu śmigłowców. Poszło łatwiej niż przypuszczałam. Poza tym odkryłam, że Paul jest szczególnie utalentowany w dziedzinie sabotażu. Pokazałam mu, jak pozakładać ładunki w składzie amunicji i zbrojowni. Szkoda, że nie widziałeś, jak pięknie pozamieniał przewody w tablicach rozdzielczych głównych generatorów i systemów lądowania maszyn, które zostawiamy. Można by zaproponować mu pracę w KGB.

- Byłby zachwycony - roześmiał się Rourke. Nie umiał wyobrazić sobie Paula w roli agenta KGB. Po namyśle uznał, że dla Natalii też nie jest to odpowiednia rola.

- Paul powinien skończyć, zanim wylądujemy - powiedziała. John popatrzył na nią w milczeniu. Kochał ją.

Rozdział XVI

Rourke ruszył w stronę bunkra, trzymając w pogotowiu karabin. Natalia szła obok. Paul i O'Neal ubezpieczali ich.

- Powinna tu być jakaś załoga, no nie? - szepnęła Rosjanka. Doktor czujnie wpatrywał się w ciemność.

- Nie. Jak sięgnę pamięcią, te rakiety nigdy nie wchodziły w skład żadnego systemu. Pewnie dlatego nie zostały odpalone. Ubezpieczaj mnie z prawej.

- Dobra - doleciało z mroku.

Usłyszał, że zatrzymała się. Spojrzał na nią z niepokojem.

- Wiesz, pracowałam z Władimirem, kiedy usiłowaliśmy wykraść plany tych rakiet. Wiem o nich coś niecoś. Nie można usunąć głowicy z korpusu rakiety bez całkowitego demontażu. Całkowitego! Wiesz, jakie to skomplikowane?

- Kiedy byłem w Ameryce Łacińskiej - odrzekł - nadzorowałem agenta, który przemycił z Kuby informacje o sowieckich rakietach.

W świetle księżyca ujrzał jej oczy i uśmiech. Odwzajemnił uśmiech i wolno, ostrożnie szedł dalej w kierunku bunkra. Obejrzał się za siebie. Paul uzbrojony w Schmeissera i O'Neal ze swoją "czterdziestką piątką" osłaniali tyły.

Zatrzymał się przy stalowych drzwiach bunkra. Usłyszał głos Natalii:

- Tu powinien być zwykły zamek, a w środku następne drzwi i zamek szyfrowy z podwójną kombinacją.

- Mogłabyś rozpracować kombinację? W szkółce dla szpiegów szło mi to fatalnie.

Zaśmiała się.

- A ja byłem w tym świetna. Kobieta z natury ma bardziej wrażliwy zmysł dotyku. Jasne, że mogę, ale bez aparatury zajmie to parę godzin. Nie sądzę, żeby słuchawki z apteczki na wiele się zdały przy tym typie drzwi.

- Jesteś dobrze poinformowana.

- Owszem.

- Owszem - przedrzeźniał ją. - Jeśli nie damy rady tym zamkom, to nie da im rady nikt inny, z wyjątkiem Cole'a albo Teala. Paul! Ty i porucznik O'Neal...

- John! - krzyknęła Natalia.

Rourke odwrócił się błyskawicznie. Ze szczytu bunkra, tam, gdzie częściowo okrywała go ziemia, skoczył na niego dzikus, uzbrojony w topór o podwójnym ostrzu. Doktor cofnął się. Usłyszał strzały z pistoletu Natalii. Dzikus zwinął się w powietrzu i runął na ziemię. Nagle jakiś ciężar przygiął doktora do ziemi. Upadł. Przed oczyma groźnie błysnął nóż o długim ostrzu. John uderzył napastnika łokciem. Gdy tamten osunął się, Rourke wyszarpnął z kabury pod pachą Detonics'a, odwiódł kurek i wypalił w twarz oddaloną o trzy stopy od wylotu lufy. Jednym strzałem roztrzaskał czaszkę draba. Odepchnął ciało, dźwignął się na nogi. Wokół wrzała bitwa. Nadbiegający ze szczytu

pagórka dzikus zgiął się wpół, upadł i potoczył się po trawie. Dzicy nacierali na Paula i O'Neala. Rourke zacisnął w dłoni pistolet. Nacisnął spust raz, potem drugi. Dwóch dzikusów upadło.

Wtem poczuł na szyi ucisk potężnych ramion. Napastnik przerastał go niemal dwukrotnie. Padając trafił łokciem na kamień i mimowolnie rozwarłszy dłoń upuścił pistolet. Bezbronny uderzył więc wroga pięścią, trafiając w brzuch. Tamten nawet nie zareagował.

Leżąc na plecach, Rourke chciał obronić się kopniakiem. Trafił w kość. Następnym kopniakiem wycelował w krocze. Dryblas zawył z bólu. Uderzeniem w małą twarz ostatecznie unieszkodliwił olbrzyma.

W tym momencie zauważył Natalię. Pozbawiona automatu, z pistoletem w dłoniach cofała się przed dwoma dzikusami pod ścianę bunkra. Potężne ciało przygwoździło go do ziemi.

- Natalia, uważaj!

Wykonała półobrót. Do dwóch napastników przyłączył się trzeci. Pistolety wypaliły. Rourke zobaczył padające na nią ciało wroga. Stracił ją z oczu. Spróbował wydostać się spod przygniatającego mu pierś mężczyzny. Znów ją zobaczył. Walczyła komandoskim sprężynowcem. Wyglądała jak szermierz. Jeden z dwóch atakujących ją jeszcze dzikusów z jękiem zwałił się na ciało tego, którego zastrzeliła.

Ostatni dzikus zbliżał się do niej z maczetą w dłoni.

Rourke nie mógł się wydostać spod przeciwnika. Wracało mu czucie w prawej dłoni, ale druga, podobnie jak reszta ciała, była unieruchomiona.

Przypomniał sobie, że w Detonics'ie powinny być jeszcze dwa naboje.

Zagwizdały pociski. "To Paul i O'Neal" - pomyślał John.

Pistolet leżał zaledwie o kilka cali od czubków jego palców. Rourke poczuł, jak dzikus zatapia zęby w jego udzie. Udało mu się poruszyć ręką, nie dał jednak rady sięgnąć po pistolet. W końcu natrafił na rękojeść noża. Wyszarpnął go z pochwy i pchnął. Usłyszał wrzask.

Teraz mógł już wyciągnąć pistolet. Przyłożył lufę do głowy dzikusa. Odwrócił twarz z obrzydzeniem. Nacisnął spust raz, drugi. Ciało olbrzyma drgnęło. Naparł na nie i wreszcie przetoczył je na bok.

Tymczasem Natalia pozbawiła napastnika maczety. Tamten wycelował w nią rewolwer.

Oba pistolety Rourke'a szczęknęły dwukrotnie. Dzikus, nie wypuszczając rewolweru, zachwiał się i runął na ziemię.

John przeładował pistolet. Z kabury na biodrze wyszarpnął Pythona.

- Natalia! - zawołał.

Rzucił pistolet dziewczynie. Chwyciła go zręcznie. Sześciocalowa lufa Pythona jak wąż wypełzła w przód, u wylotu lufy pokazał się pomarańczowy języczek ognia. Kolejny dzikus padł na ziemię.

Rourke puścił się biegiem w kierunku Paula i O'Neala, unieruchomionych pod karabinowym ostrzałem z góry, ze skał. Wystrzelił dwa razy w tamtym kierunku, kryjąc się za stertą kamieni. Doleciał go huk Pythona, a potem nagle trzask krótkich serii z M-16. Przerwał ładowanie pistoletu i wychylił się nieco zza osłony. Natalia biegła ku niemu.

- Ilu ich może być? - resztką tchu wyszeptała dziewczyna, dopadając do niego.

- Dwóch albo trzech, inaczej dawno by uderzyli.

- Masz. - Wepchnęła Pythona do kabury na jego biodrze i zamknęła ją z trzaskiem. - Są jeszcze dwie serie, jeżeli był pełny.

- Tak - kiwnął głową.

- Reszta dzikusów pewnie dobiera się do śmigłowca, żeby go zniszczyć.

Popatrzył na jej twarz w świetle księżyca, na tę krótką chwilę zapominając, gdzie jest i co robi.

Była bajecznie piękna.

Z zachwytu wyrwała go kolejna seria z karabinu maszynowego.

- Trzeba przycisnąć tych gnojków - rzucił. Wyciągnął cygaro. Odgryzł koniuszek i zacisnął w zębach.

- Pierwszy raz widzę, że robisz coś podobnego.

- Zazwyczaj rano przycinam końce nożem - wyjaśnił uprzejmie. - Grzej w nich przez cały czas.

Nie staraj się przedostać do chłopców. Ja spróbuję dotrzeć tam na górę. - Sięgnął do chlebaka i wydobył z niego cztery trzydziestonabojowe magazynki. - Masz. - Podał jej i znów spojrzał na nią czule.

- Ja też cię kocham - uśmiechnęła się.

- Przymknij się. - Pocałował ją w czoło. Potem puścił się biegiem ku górze. Pozostało jeszcze trzech, których trzeba było zabić.

Rozdział XVII

Rourke mozolnie piał się na skały, skąd dobiegała chaotyczna strzelanina. Co pewien czas strzały odzywały się również z dołu. Równe, potrójne serie Natalii krzeszały na skałach iskry i nie pozwalały dzikusom wychylić głów spoza osłony. W kanonadzie Rourke rozpoznał także broń Rubensteina i O'Neala.

Częściowo opróżnione magazynki bliźniaczych Detonics'ów zostały zastąpione świeżymi, co dawało mu teraz po siedem strzałów z każdego pistoletu. W kaburze na biodrze spoczywał Python, także z pełnym bębniem.

Rourke posuwał się naprzód. Teraz już wyraźnie widział trzy ukryte postacie. Nie miał wyboru. Schował do futerałów Detonics'y, odbezpieczając je przedtem. Teraz sięgnął po Pythona. Złożył się do strzału, opierając łokcie na skale. Wycelował w najdalszą z trzech głów i lekko dotknął spustu. Rewolwer prawie nie drgnął, gdy wyleciał z niego dziesięciogramowy pocisk. Dwaj pozostali złoczyńcy rzucili się do ucieczki.

Wystrzelił ponownie. Nie chybił. Trzeci i ostatni dzikus podniósł broń do oka.

Rourke jeszcze raz pociągnął za spust. Trzeci przeciwnik padł trafiony w głowę. John przywarował za skałami, na wypadek, gdyby byli jeszcze inni dzicy, których nie zauważył.

Ciężki Python i tym razem nie sprawił zawodu. Nosił go z powodu niezwyklej celności przy strzałach do oddalonych celów. Zresztą w tej broni nie było zwykłych, seryjnych elementów. Rourke miał sporą praktykę rusznikarza i mógł dopasować lub zamienić każdą część jakiegokolwiek pistoletu. Python był jednym z niewielu rewolwerów skrzynkowych, który nie wymagał ciągłego regulowania. Powszechnie sądzono, że wszelkie zanieczyszczenia obniżają skuteczność jego ognia. Doktor nie podzielał tej opinii. Mocna konstrukcja sprawiała, że był to chyba najlepszy model z serii Magnum 357. Rourke przechowywał w domu nowy, nierdzewny egzemplarz tej broni dla syna. Miał też dla niego Detonics'y. Z niepokojem zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy Michaela.

- John! John! Nic ci nie jest? - wołała Natalia. Minął jeszcze jakiś czas, zanim Rourke zdobył się na odpowiedź.

Rozdział XVIII

Porucznik O'Neal pełnił swego czasu funkcję oficera raketowego. Atomowa łódź podwodna Gundersena wystrzeliła podczas Nocy Wojny wszystkie rakiety, jakie miała na pokładzie, wobec czego porucznika przydzielono do grupy desantowej. Ocalał jako jedyny.

Teraz, mimo że ranny i wyczerpany walką, dyskutował z towarzyszami broni na temat ich obecnego położenia.

- Major Tiemerowna ma rację - poparł Natalię. - Jej wiadomości na temat tych rakiet są teraz na wagę złota, zakładając, że są prawdziwe...

- Nasz informator zajmował bardzo wysokie stanowisko - uśmiechnęła się Natalia. - Mieliśmy więc dostęp do największych tajemnic armii USA.

- Ma pani zupełną rację. I ja wiem coś na ten temat. Dostarczano nam materiały informacyjne, które pozwalały z grubsza zorientować się w budowie i działaniu tego modelu. No i były jakieś przecieki ze sztabu. Z chwilą, gdy w rakietach zamontowano głowice, rozbrojenie było ryzykowne, właściwie niemożliwe. System ten nazwano nieodwracalnym. Jedyne, co można było zrobić z rakietami, to wystrzelić je.

- To idiotyczne! - stwierdził z pasją Rubenstein.

- Wielu z nas myślało tak samo, panie Rubenstein. - O'Neal wygodniej usadowił się na swoim miejscu. - Tylko, że nikt nas nie pytał o zdanie. To miało... - O'Neal zerknął niepewnie na stojącą przed nim Natalię - eee... miało na celu zabezpieczenie systemów raketowych przed sowieckimi agentami

- Proszę się nie krępować - zabrzmiał ciepły alt Natalii.

- Wobec tego, co zrobimy? - zapytał Paul. Rourke popatrzył na niego.

- Ty i O'Neal będziecie bronić naszych pozycji przed Cole'em. Ich jest trzech, a was dwóch, więc nie powinno to być takie trudne. Natalia i ja dwoma śmigłowcami polecimy do łodzi podwodnej. Ściągniemy posiłki. Myślę, że nie zajmie nam to więcej czasu niż dwie godziny, góra trzy. Podejrzewam, że ta banda, którą wystrzelaliśmy, zajmowała się plądrowaniem. Albo może była czymś w rodzaju patrolu. Drzwi bunkra wytrzymają wybuch bomby, więc nie sadzę, żeby mieli zamiar tam wejść. Jeśli nawet to oni zostawili tam ślady palnika, przekonali się, że to nie takie łatwe. W razie gdybym się mylił i rzeczywiście pojawiłby się tutaj jakiś większy oddział, zwiewajcie. Dam ci moją raketnicę. Na dany sygnał wrócimy, żeby was stąd zabrać.

- W śmigłowcach są duże raketnice.

- Tym lepiej. - Rourke spojrzął na Natalię z wdzięcznością. - W każdym razie - ciągnął, podnosząc oparty o drzwi bunkra karabin - zadanie nie powinno być trudne. Ukryjcie się w tych skałach. Jeśli pojawi się Cole, trzymajcie go z dala od bunkra. Jeśli dzikusy, zmywajcie się szybko, a oni już go nie dopuszczą. Potem pomyślimy, jak dostać się do środka. To może być coś dla ciebie - rzucił w stronę Natalii.

Dziewczyna roześmiała się.

- Co panią tak śmieszy, pani major? - z dwuznacznym uśmiechem spytał O'Neal.

- Bawi mnie to, że marynarka Stanów Zjednoczonych będzie pomagać majorowi KGB we włamywaniu się do bunkra raketowego amerykańskiego lotnictwa.

- Faktycznie - powiedział Rubenstein - to śmieszne.

Rozdział XIX

Ogniska paliły się teraz wysokim płomieniem, a krąg dzikusów stał nieporuszony.

- Armitage! - zawołał Cole półgłosem.

- Tak, kapitanie.

- Jeśli cokolwiek się zdarzy, wpakujesz Tealowi kulę w łeb, a jeszcze lepiej kilka.

- Tak jest!

Cole znał Armitage od trzech lat. Razem odbyli ćwiczenia w obozie wojskowym w Alabamie.

Razem brali udział w grach wojennych, słuchali przemówień. Wspólnie wysadzili w powietrze samochód czarnoskórego reportera telewizyjnego. Wspominając wspólne akcje, Cole spojrzał na płonące na wzgórzu krzyże. Rozbawił go fakt, że to właśnie ich dzicy chcą w ten sposób nastraszyć.

- Armitage! - zawołał znowu. - Tak.

- Weź Kelsoe'a i zetnijcie trochę gałęzi. My też zrobimy sobie krzyż. Pamiętasz?

Armitage przez chwilę nie odpowiadał, jakby starał się coś sobie przypomnieć. Potem jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. W czerwonym odblasku ognisk jego oblicze zdawało się szatańsko niesamowite.

- I zapalić go, kapitanie? - W głosie Armitage'a zabrzmiała nuta satysfakcji.

- I zapalić, Armitage.

- Tak jest!

Armitage zawołał stojącego nie opodal na straży Kelsoe'a. Ten wyciągnął zza pasa toporek. Oddalili się poza krąg światła ognisk. Cole chwilę patrzył za nimi.

- Teraz my wam pokazemy, jak się to robi, skurwysyny! - mruknął pod adresem dzikusów.

Rozdział XX

Szli w ciemności. Na czele Bill, pół kroku za nim Sarah, a z tyłu Michael z Annie i matką Billa. Sarah wiedziała, że w razie czego Michael ją ostrzeże. Wydawało się jej, że słyszała jakieś odgłosy. W głębi wąwozu musieli być ludzie. Pozostanie w górach lub marsz drogą groził sowiecką niewolą. Jedyne z tego powodu Bill (Sarah zdawała sobie sprawę, że to ona wpłynęła na jego decyzję), zdecydował się poprowadzić ich w głąb wąwozu. Wiedziała, że mogli ukrywać się w nim bandyci albo Rosjanie, ale tylko tu mogli spotkać także ludzi z Ruchu Oporu. Musieli zaryzykować. Żona Rourke'a dopiero teraz pojęła w pełni istotę kobiecej władzy nad mężczyzną. Rozmyślała nad tym, bezskutecznie usiłując skupić uwagę na czekającym ich zadaniu. Bill, mimo że niewiele starszy od jej syna, był mężczyzną, wobec tego stawał się przywódcą. Ale ona przeżyła więcej, patrzyła i osądzała głębiej. Wiedzieli o tym oboje. Tak więc nie starała się rządzić, tylko doradzać, nie wydawała rozkazów, ale starała się tylko sugerować odpowiednie posunięcia. Zawsze odnosiło to skutek, a męska godność Billa nie ucierpiała. Była zadowolona, że jest kobietą. Bez sprzeciwu wypełniała jego rozkazy, tak długo oczywiście, jak długo były zgodne z jej własnymi subtelnymi zaleceniami. Rozumiała teraz, co było niekiedy przyczyną jej konfliktów z mężem. John nie pozwalał, by wpływała na niego. Nigdy nie uchylił się od wysłuchania jakichkolwiek jej propozycji. Ale protestował przeciwko próbom manipulacji i Sarah sądziła, że było to podświadome działanie jego męskiej dumy. Nigdy nie byli zgodnym małżeństwem. Ale zawsze się kochali. Sarah Rourke zastanawiała się, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze swego męża, czy poczuje dotyk jego dłoni, czy jeszcze kiedykolwiek pokłóci się z nim?

Wędrowcy, dotarłszy do dna wąwozu, zatrzymali się.

- Bili... - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

- Tędy - przytaknął chłopak.

Sarah uświadomiła sobie nagle, że lufą karabinu wskazywała ten sam kierunek, który wybrał chłopak. Czyżby czytał w jej myślach i rozumiał, że chciała iść właśnie tędy. W razie potrzeby otoczenie sprzyjało ucieczce. Pierwszy raz poczuła satysfakcję z panowania nad mężczyzną.

Rozdział XXI

Przygotowany do strzału Trapper, kaliber 45, dobrze leżał w zaciśniętej dłoni Sarah. Szli leśną ścieżką. Rzuciwszy okiem na zegarek, kobieta stwierdziła, że od momentu wyruszenia minęło już ponad pół godziny. Od paru minut nasłuchiwała ledwie dosłyszalnych szmerów. Zostawiła Michaela i Annie pod opieką Mary Mulliner. Karabin oddała synowi. Mary była najgorszym strzelcem, jakiego Sarah kiedykolwiek w życiu widziała. Roześmiała się w duchu. Przed Nocą Wojny ona też nie miała nic wspólnego ze strzelaniem. Broni dotykała wtedy tylko, gdy odkładała ją na bok przy sprzątaniu. Gwałtownie schyliła głowę, żeby uniknąć zderzenia ze zwisającą nisko gałęzią. Nie zdążyła, gałąź zahaczyła o chustkę na jej głowie.

- Cholera! - mruknęła ze złością.

Bili obejrzał się, dała mu znak, że wszystko w porządku. Przed Nocą Wojny nie pozwoliłaby sobie na używanie tego rodzaju słów. Ale sytuacja nauczyła ją kląć. Szła dalej, obserwując Billa, ścieżkę przed sobą i głębokie cienie, których nie rozpraszało słabe światło gwiazd. Nagle usłyszała szmer. Wzmagający się szelest zaniepokoił ją. Obróciła się i wtedy to coś wpadło na nią, przewracając ją na ziemię. Zaczęła szukać napastnika. Jak leśny duch raptem wyrosła przed nią jakaś postać.

- Sarah! - odezwał się cichy, ochrypły głos. - Sarah, to ja.

Zabezpieczyła broń. Po chwili oparła głowę o pierś mężczyzny. Nie przypuszczała, że będzie aż tak szczęśliwa, widząc przywódcę Ruchu Oporu, Pete'a Critchfielda.

- Pete - wyszeptała cichutko. Wreszcie znalazła kogoś, kto wiedział, co robić.

Rozdział XXII

Krzyż palił się z trzaskiem i Cole czuł się teraz bezpieczniej. Obserwował dzikusów. Oni też patrzyli na niego, zaskoczeni, że przeciwnik również odważył się wznieść i podpalić krzyż.

- Kiedy, do diabła, coś zacznie się dziać, kapitanie? - spytał Kelsoe. Armitage siedział na ziemi pod sosną, do której przykuty był Teal.

- Niedługo, Kelsoe. Teraz już niedługo.

- Niedługo zejda tutaj i posiekają nas na kawałki.

- Może. - Cole spojrział na obsadzone przez dzikusów wzgórze. - Choć, skoro dotychczas tego nie zrobili... Może mają...

- Cole! - zawołał Teal.

Cole odwrócił się twarzą do niego, rozprostowując zdrętwiałe nogi.

- Czego?

- Cóż to za potęgę masz zamiar zaoferować tym wariatom? Cole wstał.

- No cóż, myślę, że można by to nazwać najwyższą potęgą. Potęgą słońca. Niszczycielską siłą.

- Chce im pan podarować rakietę?

Cole wzruszył ramionami i odwrócił się. Na pagórku zapanowało poruszenie, szeregi dzikusów rozstąpiły się, pojawiła się nowa grupa ludzi. Robili wrażenie lepiej uzbrojonych, o ile Cole mógł to właściwie ocenić w blasku ognisk i niesionych przez nich pochodni.

- Rzućcie broń! - dobiegł Cole'a donośny, potężny głos.

- Nie! - odkrzyknął. - Przybyłem, by obdarzyć was potęgą, a nie po to, by dać się zabić! - Grał ryzykownie i wiedział o tym.

- Rzućcie broń! - Głos rozległ się ponownie, jak gdyby wołający wcale go nie słyszał.

- Daję wam najwyższą władzę! Władzę, o jakiej nie śnił żaden z was.

Z szeregu wystąpił mężczyzna okryty płaszczem ze skóry. Nie niósł pochodni ani żadnej broni. Był otyły i znacznie niższy od otaczających go dzikusów. To nie on wołał do Cole'a, żeby złożył broń.

- Proszę, cóż za tupet! - Wódz wydawał się ubawiony. - Nas są setki, a was zaledwie czterech, z czego jeden jest najwyraźniej waszym więźniem. Ofiarowujesz mi władzę, potęgę o jakiej nie śniłem? Lubię ludzi z poczuciem humoru. Obawiam się jednak, że moi wyznawcy nie znają się na żartach. Powiedz mi więc, cóż to za nieskończona potęga, którą chcesz mi dać?

Cole zrobił efektowną pauzę, zanim odkrzyknął:

- Osiemdziesięciomegatonową głowicą termojądrową, zainstalowaną na międzykontynentalnej rakiecie balistycznej, którą potrafię uzbroić i wystrzelić.

Człowiek na wzgórzu milczał przez chwilę. Zastanawiał się.

- Nazywam się Otis. Kto wie, może zostaniemy dobrymi przyjaciółmi?

Rozdział XXIII

Ludzie Critchfielda zabrali panią Mulliner i dzieci głębiej w las. Sarah siedziała w ciemności pod rozłożystym dębem. Obok usadowił się Bill, a naprzeciw nich siedział ze skrzyżowanymi nogami Pete Critchfield, przysłaniając dłonią jedno ze swych śmierdzących cygar. Sarah wiedziała, że maskuje w ten sposób żarzący się czubek. Zadawała sobie pytanie, czy Pete'owi kiedykolwiek przyszło do głowy, że wróg może go namierzyć, kierując się wyłącznie zapachem.

- Teraz, kiedy David jest w niewoli albo już nie żyje, nie musimy czekać, aż ktoś przyjdzie i obejmie dowództwo.

- Niech Bóg ma Davida w swojej opiece - szepnęła Sarah.

- Amen - dokończył Bill.

- Taaak, amen, ale skoro go wyeliminowali, my musimy działać - mówił Critchfield. - Niedaleko Nashville są wielkie składy zapasów. Czerwoni gromadzą je tam już od paru dni. Jest tego więcej niż...

- Po co? - przerwał Bili.

- Szlag mnie trafia, Bili, ale mają tam rzeczy, których nam potrzeba. Całe paki leków, a w moim oddziale jest trzech paskudnie rannych i ani ampicyliny, ani środków przeciwbólowych. Jeden z nich jest w takim stanie, że stale siedzi obok niego dwóch ludzi, żeby zatykać mu usta, kiedy zaczyna krzyczeć, a jak jest przytomny, pompują w niego whisky.

- To chyba nie rana żołądka?

- Nie, proszę pani. Jest ranny w nogę.

- Powinniście być ostrożni. Alkohol ma działanie uspokajające, ale w połączeniu z silnym wpływem krwi może dać efekty uboczne.

- Dobrze, Sarah... Zdaje się, że już zacząłem mówić do pani po imieniu?

- W porządku.

- Dobra. Myślę, że przydałabyś się nam i to z dwóch powodów. Chyba, że gdzieś się wybierasz?

- No cóż, właściwie byłam umówiona na kolację - roześmiała się.

- Zaproponowałbym wam coś do zjedzenia, ale nie mamy...

- Jadłam dziś rano - przerwała.

- W tych magazynach mają też i żarcie. U nas mogłabyś zaopiekować się rannymi... Oprócz tego, całkiem nieźle radzisz sobie z bronią. Widziałem cię w akcji. Gdybyś mogła się tym zająć razem z dziećmi, wtedy Bili, ja i chłopcy mielibyśmy wolne ręce i moglibyśmy uderzyć na te składy. W lesie mamy zadekowane dwie ciężarówky. Możemy skoczyć do Nashville i piorunem wrócić.

- Jeżeli w ogóle wrócicie - stwierdziła bez ogródek.

- No... nie będę się z tobą sprzeczał, może być różnie. Taka jest prawda.

- Mogę zabawić się w siostrę miłosierdzia - powiedziała. "Czasami - pomyślała nagle - wcale nie tak dobrze być kobietą".

- Dobra. Pobawię się w pielęgniarkę - powiedziała raz jeszcze.

Rozdział XXIV

- Kim wy, do diabła, jesteście? - zaczął z impetem Cole.

- Jesteśmy tymi, którzy mają w garści całe północne wybrzeże Pacyfiku - odparł Otis. - Każdy obcy zostaje zabity. Kiedy trafiamy na ludzi, którzy tu zamieszkują, bierzemy ich do niewoli. Mają do wyboru: przyłączyć się, albo zginąć. Większość się przyłącza.

- Nie wiem, ilu masz ludzi, Otis, ale nie widzę możliwości, żebyś mógł stawić czoła regularnej armii.

- Podejrzewam, że w przyszłości może stanowić to pewien problem.

Cole przyglądał się błyszczącym w blasku ogniska oczom Otisa. Były piwne. Kapitan nie przypuszczał, że ludzkie oczy mogą być aż takie jasne.

- Kiedyś, być może, będziemy ze sobą walczyć, Otis, ale teraz możemy stać się sprzymierzeńcami. Rakiet jest sześć.

- To już słyszałem.

- Mnie potrzebne jest tylko pięć. Ty możesz wziąć szóstą.

- Zastanawiam się, kapitanie, dlaczego po prostu nie zabiję was i sam nie wezmę sobie rakiet.

- Żaden konwencjonalny ładunek, jaki możesz sobie wyobrazić, nie otworzy ci drzwi tego bunkra. Jeśli weźmiesz coś większego, rozwalisz wyrzutnię. Oprócz tego, nie wiesz przecież, jak uzbroić i wycelować rakietę. Tylko ja to wiem.

- Mogę cię uwięzić i torturować, prawda? - uśmiechnął się Otis. - Widzisz, przed wojną... domyślałam się, że to była wojna, mam rację?

- Tak.

- No więc, przed wojną zostałem aresztowany pod zarzutem wielokrotnego zabójstwa. Zwolniono mnie z powodu braku dowodów. Ale stałem się czymś w rodzaju idola. Oczywiście byłem winny. Znaleźli się ludzie, którzy chcieli iść za mną. Zaszliśmy się w górach i żyłem sobie jak kacyk. Wiesz, studiowałem antropologię społeczną, dynamikę zbiorowisk, religioznawstwo porównawcze i inne takie rzeczy. Stworzyłem własną religię. To było przed procesem. Podczas procesu cały ten hałas w prasie sprawił, że moja gwiazda wzniosła się, że tak powiem, jeszcze wyżej. Po tej... wojnie w sposób całkiem naturalny zaprowadziłem porządek tam, gdzie panował chaos.

- Religia?

- Mniej więcej. To, co przychodzi z zewnątrz jest złe, skażone. Inne rasy są jedynie godne pogardy. Sądząc po krzyżu, który zapaliłeś, domyślałam się, że słyszałeś coś o tej ideologii.

- Prawda jest uniwersalna - stwierdził Cole.

- Prawda? Nic podobnego. Ale - uśmiechnął się Otis - skoro wierzą w to moi wyznawcy, sądzę, że nie ma powodu, dla którego i ty nie miałbyś w to wierzyć. Widzisz, zarządzałem czymś, co policja mogłaby nazwać religijną mafią, sektą wyłudającą od ludzi pieniądze w zamian za takie rzeczy, jak różańce, kadzidła, obietnice cudownego uzdrowienia. Zgromadziliśmy tysiące dolarów z datków

naszych wiernych. Pewien czarny dżentelmen, całkiem zamożny, sam przyszedł do mnie, wziął udział w naszych modlitwach i zaklęciach - i zapisał nam cały majątek. Znaczny majątek. Włamałem się do jego domu z dwójką moich... wyznawców i zabiłem go. A razem z nim całą jego rodzinę, żeby nikt nie mógł zakwestionować jego ostatniej woli. Na nieszczęście, sąsiad usłyszał wrzaski i przytknęła nas policja. Moi wyznawcy popełnili samobójstwo, tak jak im rozkazałem. Zarzucano mi rasizm i tym podobne bzdury. Treść aktu oskarżenia wpłynęła na moją popularność po uniewinnieniu. Potem była ta niby-wojna; i cóż, jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Do czego zmierzam: nie ma przeszkód, abym kazał cię torturować.

- Owszem, żeby wydobyć ze mnie informacje - kiwnął głową Cole. - Ale nie zmusiłbyś mnie, żebym uzbroił i wycelował rakiety. Nie mógłbyś być pewny, że zrobiłem to właściwie, prawda?

- Podejrzewam, że nie - zaśmiał się Otis. - Trafił swój na swego. A jakież to cel przeznaczasz swoim pięciu rakietom? -zaśmiał się znowu. - Oczywiście, jeśli to nie zbytne wścibstwo?

- Rosjanie okupują kawał Wschodniego Wybrzeża i Środkowego Zachodu - wyjaśnił Cole. - To znaczy to, czego ich rakiety nie zmiotły z powierzchni ziemi.

- Doprawdy! Hmm...

- Swoją główną kwaterę umieścili w Chicago.

- Cudowne miasto, Chicago.

- Pięć osiemdziesięciomegatonowych głowic unicestwi cały sowiecki Sztab Główny w Stanach Zjednoczonych, a oprócz tego tony zapasów i dziesiątki tysięcy żołnierzy. Wojna lądowa, jaką toczą w Chinach, osłabiła ich. Nie będą mieli środków na następną inwazję. Większość swoich sił zużyli podczas Nocy Wojny.

- To tak to nazywacie? - zaciekawiał się Otis. - Bardzo ładnie brzmi. Noc Wojny. Podoba mi się. Wprowadzę to do swojego rytuału, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Będziemy znowu wolni, Otis. Wybijemy tych pieprzonych komunistów do nogi, a potem zabierzemy się za Żydów i czarnuchów, którzy ich tutaj sprowadzili. Zrobimy z tego na nowo kraj dla Amerykanów.

- Nie sądzisz, że wielu twoich Amerykanów, mam oczywiście na myśli białych chrześcijan, zginie podczas ataku raketowego, jaki planujesz przeprowadzić?

- Nie więcej niż kilkaset tysięcy, góra milion. Zresztą gdybym im to powiedział - wyjaśnił - na pewno za tę ideę chętnie oddaliby życie.

- Tak? Wątpię.

- Na pewno. - Cole starał się go przekonać. - Najpierw czerwoni, potem ta banda, która pomogła im przechwycić władzę. Odbierzemy im Amerykę, zgromadzimy nowy zapas głowic, podczas gdy komuniści będą się rznąć między sobą w Chinach, a potem wystrzelimy je na Chiny oraz Rosję i wreszcie wytępimy całą tę zarazę. Świat stanie się znowu miejscem, gdzie będzie można przyzwoicie żyć. Damy naszym dzieciom taki świat, w którym będą mogły rosnać bezpiecznie; gdzie białe dziewczęta nie będą musiały...

- Nie wątpię w szczerotę pana przekonań, kapitanie - przerwał Otis. - Ale czy czterysta megaton to nie za dużo, jak na jedno miasto?

- Nie. Musimy mieć pewność.

- Tak, w ten sposób będziemy mieć pewność.

- Mówiłeś o torturach, Otis. Tamten facet, pułkownik lotnictwa, wie, gdzie położony jest bunkier. Gdybyś...

- Sam wiem, gdzie jest ten bunkier. Zawsze się zastanawiałem, co w nim trzymają. Ale co się tyczy tortur... dlaczego nie miałbym go dać swoim ludziom? Moi ludzie okazali zdumiewającą cierpliwość. Niech się zabawią, podczas gdy my będziemy omawiać najważniejsze punkty naszego układu.

- A więc pomożesz mi walczyć za Amerykę? Otis siedział nieporuszony. Milczał.

Rozdział XXV

Rourke przyglądał się rozrzuconym w dole ogniskom. “Dzikusy. Może złapali Cole’a” - pomyślał.

- John, widzisz te ognie? - usłyszał w słuchawkach.

- To dzikusy - odparł.

- Włączamy się? - zapytała Natalia.

Rourke nie odpowiadał. Być może tam na dole był Teal. Ale jeżeli Cole nadal jeszcze miał władzę nad swoimi ludźmi, to Teal pozostanie przy życiu, dopóki nie dotrą do rakiet. W przypadku, gdyby podczas walki uszkodzono jeden z helikopterów, przerzucenie tu pełnej, porządnie uzbrojonej grupy desantowej z łodzi stałoby się niemożliwe.

- Lecimy dalej na wybrzeże.

- W porządku - odpowiedział jej głos. Po chwili usłyszał: - Dziwny z siebie człowiek.

- A to czemu?

- Sądziłabym raczej, że uderzysz na nich jak burza. Te opowieści Paula, jak wpadłeś na motocyklu do obozu bandytów w środku pustyni i zabiłeś ich herszta, a potem...

Rourke wrócił myślami w przeszłość. To było tak dawno temu. Od tego czasu Rubenstein wiele się nauczył. John przyjrzał się światelkom na tablicy rozdzielczej.

- To było środkiem do celu - powiedział.

- Zemsty? - Tak.

- A teraz celem jest...? - Natalia zawiesiła głos.

- Powstrzymać Cole’a od wystrzelenia tych rakiet. Tylko to. Miliony istnień za cenę jednego.

Zastanawiał się, czy Armand Teal zrozumiałby to. Uśmiechnął się do siebie. Nie był pewien, czy on sam chce to zrozumieć.

Rozdział XXVI

- Prymitywne - powiedział Cole, patrząc na Teala, przywiązanego do jednego z krzyży. Potężny mężczyzna posługując się nożem, którego ostrze lśniło w poświacie ogniska, zdierał wąskie paseczki skóry z nóg Teala. Armand już nie krzyczał, słysząc tylko jęk, kiedy nóż powoli posuwał się w górę.

- To dopiero sztuka - wyjaśnił stojący obok Cole'a Otis. - Zadawanie tortur z unikaniem całkowitej utraty przytomności lub śmierci ofiary wymaga wielkiej precyzji. Forrester robi to z artyzmem. Rzadko nuży mnie oglądanie go. Wydaje się, że za każdym razem odkrywa nowe i bardziej wyrafinowane warianty. Och, patrz!

Po raz pierwszy Cole zauważył u Otisa emocje. Spojrzał w ślad za wyciągniętą ręką. Forrester ujął teraz obnażone jądra Teala. W ręce miał inny, mniejszy nóż.

- Mówią, że ten nóż jest ostry jak żyłeczka - szepnął Otis. - Tylko raz widziałem, jak Forrester to robi. To jest cudowne.

Cole'owi przyszło na myśl, że Otis jest wariatem. Ale sam patrzył jak zahipnotyzowany. Nie mógł oderwać wzroku. Wyglądało na to, że człowiek z nożem, którego Otis nazywał Forresterem, golił jądra Teala.

- Usuwa górną warstwę skóry - wyjaśnił Otis - ale powoli i ostrożnie, żeby nie dopuścić do zbytniego krwawienia. Potem zajmie się...

- Nie chcę... - zaprotestował Cole.

- Och, przecież to wyśmienite! Podejdzie któraś z kobiet, pobudzi go... i, cóż, wykrwawi się na śmierć.

Cole odwrócił twarz i zwymiotował.

- Doprawdy, kapitanie, jak na człowieka, który planuje taką jatkę... No, nie rozumiem, dlaczego to miałyby być...

Cole nie patrzył na Armanda Teala. Wpatrywał się w blask, którym pałały oczy Otisa. Zacisnął powieki. Słyszał kobiecy głos, jęk Teala, a potem długo, długo, krzyk i wycie gromady dzikusów. Szept Otisa sączył się do uszu Cole'a. Jego oddech czuć było marihuaną.

- Już po wszystkim, kapitanie. Może pan otworzyć oczy. A jednak nie było po wszystkim. Słyszał, jak dzikus się śmieje.

Rozdział XXVII

Kończono załadunek. Część grupy desantowej rozlokowała się już wygodnie wewnątrz śmigłowca Rourke'a. Maszyna Natalii stała jeszcze na pokładzie raketowym.

- Masz mi przywieźć tych chłopców z powrotem, Rourke - rozległ się w słuchawkach głos Gundersena. - Inaczej będę miał za mało ludzi, żeby dać sobie radę z tą łódeczką.

- Ładna mi łódeczka! - roześmiał się John do mikrofonu.

- Rozumiesz mnie chyba, nie?

- Rozumiem - odparł poważnie.

Morze było szare, niespokojne, usiane strzępami piany. Wiał wiatr od lądu.

"Będziemy musieli lecieć pod wiatr" - pomyślał doktor.

- Nie wiem, czy orientuje się pan, jaka tu jest pogoda, komandorze? - zagadnął Gundersena.

- Stąd widać tylko całkowite zachmurzenie, niewiele więcej.

- Mówi pan jak rasowy meteorolog.

- Jeżeli otworzę okno, będę miał mokre gacie. To jest ten drobny minus łodzi podwodnych.

- Widzę, że minął się pan z powołaniem. Powinien pan zostać komikiem.

- Nigdy o tym nie myślałem. Ale dziękuję za komplement.

- To wcale nie miał być komplement.

Łądowanie na pokładzie raketowym było trudne ze względu na silny wiatr. Teraz wiatr wzmógł się jeszcze, a wznoszące się coraz wyżej fale silnie kołysały łodzią.

"Start drugiego śmigłowca będzie niesłychanie ryzykowny" - pomyślał Rourke.

Dlatego zwlekał z odlotem. W razie wodowania Natalii chciał być na miejscu, żeby przynajmniej powyławiać rozbitków.

- Natalia, słyszysz mnie?

- Tak, John. Odbiór.

- Nie musisz być taką służbistką. Na linii jesteś tylko ty, ja i Gundersen. Jaka prędkość wiatru?

- Dwadzieścia pięć węzłów i wzrasta.

- Rourke - odezwał się Gundersen. - Będę się musiał zanurzyć. Zaczęło kiwać, a na pokładzie mam paru chorych, których za chwilę powyrzuca z łóżek.

- Dobra - odparł doktor. - Natalia? Jak długo jeszcze?

- Minuta, najwyżej dwie. Pokład jest śliski, musieliśmy wzmocnić reling, żeby ludzie mogli dostać się do śmigłowca.

- W porządku. - Rourke uważnie obserwował śmigłowiec Natalii. Z wysokości dwustu stóp od strony sterburty widział, jak dwóch ostatnich ludzi, uczepionych liny, mozolnie pokonuje długość pokładu. Wicher szarpał sztormiakami, które miały ich ochronić przed słonymi bryzgami, przewalającymi się przez dziób przy każdym gwałtownym przechyle. Nareszcie marynarze zniknęli wewnątrz śmigłowca. Natalia była dobrą pilotką, ale nawet najlepszy pilot na świecie nieźle by się napocił, startując pod wiatr z rozkołysanego przez fale pokładu. Helikopter poruszył się. Uniósł się z

trudem, jak gdyby był żywą istotą, potem zniosło go nieco. Opadł w dół. Serce podeszło Rourke'owi do gardła. Śmigłowiec prześlizgnął się tuż nad powierzchnią morza i wreszcie wzniósł się.

- Nieźle lata. - W słuchawkach zabrzmiał głos Gundersena.

- Uhm - mruknął John przez zęby zaciśnięte na nie zapalonym cygarze.

Rozdział XXVIII

Ból głowy nie dawał Rubensteinowi spokoju.

- Do diabła z tym! - mruknął, sięgając do kieszeni polowej kurtki po fiolkę z przeciwbólowymi tabletkami, które zaordynował mu Rourke. Połknął jedną. - Poruczniku?

- Tak, panie Rubenstein? - O'Neal, siedzący obok z pistoletem maszynowym gotowym do strzału, odwrócił się.

- John dając te pastylki, kazał mi po zażyciu każdej położyć się na kilka minut. Niech pan wyświadczy mi przysługę i rzuci okiem na wszystko, a ja chwilę się zdrzemnę. Ten ból głowy doprowadza mnie do szału.

- Nie ma sprawy, panie Rubenstein.

Paul sprawdził jeszcze, czy automat jest zabezpieczony, a pistolet dobrze zapięty w kaburze. Rourke nie raz ostrzegał przed sięganiem po broń po zażyciu jakichkolwiek farmaceutyków i Rubenstein potraktował tę radę bardzo poważnie. Przed wojną nie miał okazji zaznajomić się z bronią palną. Teraz, choć uważał się już za fachowca, wiedział, że nie dorówna Rourke'owi. Postanowił brać jego rady serio i stosować się do nich. Odsunął dalej od siebie Schmeissera, splótł ręce na piersi. Wyciągnął wygodniej nogi. Był wyczerpany po bezsennej nocy. Przed oczyma zamajaczyła mu twarz, twarz dziewczyny, z którą się spotykał. Zastanawiał się, jak zginęli nowojorczyści.

- Panie Rubenstein! Panie Rubenstein! - Głos O'Neala spłoszył upragniony obraz. Dziewczyna była taka śliczna, taka delikatna. Nie chciał się z nią rozstawać.

- Panie Rubenstein! Niech się pan obudzi!

Otworzył oczy. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Było chłodno i wilgotno. Mdłe światło poranka raziło jego oczy.

- Czy coś się stało? Jak długo spałem?

- Koło trzech kwadransów. Niech pan spojrzy.

Paul podniósł się na kolana. Ból głowy ustąpił. Odszukał Schmeissera i wyrztał spoza skał. Na przeciwległym krańcu zagłębienia, w którym położony był bunkier, dostrzegł tłumy dzikusów. A potem usłyszał słaby odgłos silników. Jeden jeep pokonywał właśnie grzbiet wzniesienia. Na prawo od niego sunął następny. W środku jechała ciężka, wysoko zawieszona ciężarówka. Na masce rozpięte było ludzkie ciało. Pokrwawione, miejscami zwęglone. Lewego ramienia nie miało w ogóle. Z przerażeniem poznał Armanda Teala.

- Niech pan patrzy!

- Widzę go - wymamrotał Rubenstein.

- Nie, nie. Tam!

Paul odwrócił się. Otaczali ich dzicy, uzbrojeni w karabiny, włócznie i maczety. Niektórzy zastygli bez ruchu jak porcelanowe figurki, z włócznią gotową do rzutu. A na ich czele...

- Cole, sukinsynu!

- Rzućcie broń! - krzyknął Cole.

- A gówno!

- Odłóżcie broń, a uratujecie życie, przynajmniej na razie. Zależy mi na raketach, nie na waszej śmierci.

Rubenstein odbezpieczył "Schmeissera", odsunął na bok O'Neala i na kolanach podpełzł do skały. Automat zaterkotał. Cole uskoczył, ciała dwóch towarzyszących mu ludzi osunęły się na ziemię. Nagle jakiś podłużny kształt ze świstem przeciął powietrze i uderzył w Paula, powalając na ziemię. Upadł na plecy, posyłając serię w niebo, zanim zdążył zdjąć palec ze spustu. W jego ramieniu tkwił ciężki drąg, zdając się przygwaźdzać go do ziemi.

- O mój Boże! Dzida - jęknął O'Neal.

Paul spróbował poruszyć ramieniem i poczuł, że ostrze wbija się głębiej, rozdzierając mięśnie.

Rozdział XXIX

Ojciec Billa (zabili go Rosjanie) nazywał to uczucie “motylami w brzuchu”. Bili cierpiał na ten dokuczliwy ból żołądka przed każdą akcją. Kiedy tylko zacznie się atak, motyle odfruną. Bili zastanawiał się, czy uczucie to jest strachem przed śmiercią, czy też przed życiem pośmiertnym. Podczas niedzielnych mszy nasłuchiwał się o łasce, jaka czeka człowieka, który narodził się na nowo w Jezusie Chrystusie, o chwale niebios, gdzie człowiek nie łaknie i nie pragnie, a jest pełen radości obcowania z Bogiem. Nie potrafił zrozumieć, jak to jest, że człowiek ma być szczęśliwy, gdy uszło z niego życie. A może życie nie było wcale czymś fizycznym? Leżał na trawie przy kole ciężarówki. Mocniej ścisnął w dłoni pistolet maszynowy. Za uchylonymi drzwiami ciężarówki widział obcasy butów Pete’a Critchfielda. Pete w czujnym oczekiwaniu pochylił się nad dziwnym, chyba własnej roboty automatem ze składaną lufą. Był gotów zabijać. Bili spojrzał na dół. W rowie po drugiej stronie płotu, już za linią rosyjskich posterunków, kryli się Lokaty i Jim. Słyszał, że Jim był przed wojną oficerem policji i jako jedyny tutaj miał legalne papiery na swojego półautomatycznego Thompsona. Pozostałych piętnastu ludzi rozrzuconych było wzdłuż ogrodzenia bazy. Czekali na znak. Gdy na teren bazy wjedzie ciężarówka, Jim miał dać sygnał do walki, rzucając w nią granatem. Critchfield twierdził, że magazyny należały przedtem do pewnej firmy fonograficznej. System zabezpieczający był ten sam co w czasach, kiedy składowano tu najnowsze albumy muzyki country. Zmieniła się tylko obsada. Jim Hastings, ten policjant, mówił, że przedtem terenu pilnowało tylko dwóch jego emerytowanych kolegów. Teraz linię ogrodzenia patrolowało trzydziestu sześciu rosyjskich żołnierzy pod czujnym nadzorem oficera KGB. Bili obserwował motocyklistów mających eskortować dwupółtonową amerykańską ciężarówkę z wymalowaną na drzwiach czerwoną gwiazdą. Rozmawiali ze sobą. Jeden z nich wskazał porzuconego mercedesa. Drugi zaśmiał się.

“Pewnie jakiś dowcip o kapitalistach” - domyślił się chłopak.

Ręce pociły mu się prawie tak samo, jak wtedy, gdy Jim i Lokaty wjeżdżali do bazy ukryci w śmieciarce. Widział, jak wyskakiwali daleko za rogiem magazynu. Ciężarówka ostro weszła w zakręt, potoczyła się drogą dojazdową i raptownie zatrzymała się przed bramą. Billowi przemknęło przez myśl, że raczej nie odważyłby się w ten sposób wieźć materiałów wybuchowych. Strażnicy otworzyli bramę. Najpierw wjechała eskorta, potem silnik ciężarówki zawył, z rury wydechowej buchnęły kłęby czarnego dymu i samochód ruszył ociężale. Bili odbezpieczył broń. widział, jak Jim Hastings unosi się w rowie, jego ramię wędruje do tyłu, a potem gwałtownie wystrzela w przód. Mały, ciemny przedmiot poszybował łukiem w stronę ciężarówki. Granat stuknął i potoczył się po betonie. Huk eksplozji ogłuszył Billa. Ciężarówka wybuchła. Czarno-pomarańczowa łuna ognia strzeliła w górę. Młody człowiek zerwał się i pobiegł. Gorący podmuch uderzył go w twarz. Dopadł głównej bramy. Konający motocyklista z krzykiem tarzał się po ziemi. Płonęło jego ubranie i ciało. Nie zatrzymując się Bili wpakował w niego serię z M-16. Obejrzał się. Pete Critchfield nadjeżdżał ciężarówką ze wzmocnionym zderzakiem. Wóz uderzył w ogrodzenie, łamiąc słupy i pociągając za sobą kawał łańcucha. Bili zauważył nadbiegającego psa i pędzącego za nim wartownika. Nacisnął

spust i pies potoczył się po ziemi. Wartownik strzelał, kule bębniły w ścianę magazynu, wzdłuż której biegł Bili. Znów strzelił, usłyszał głośniejszy terkot Thompsona. Wartownik upadł. Jim Hastings biegł w jego kierunku. Mulliner przeskoczył martwego strażnika i zobaczył, jak zza rogu magazynu wybiega dwóch rosyjskich żołnierzy. Wymierzył i nacisnął spust. Jeden z nich upadł. Długa seria z automatu znów zabębniła o ścianę, a drugi żołnierz schował się za murem. Ze zgrzytem silnika i brzękiem ciągniętego łańcucha minęła Billa ciężarówka Pete'a. Zniknęła za rogiem. Krzyk, pisk opon i ciężarówka znowu pojawiła się cofając. Na łańcuchu ciągnęło się wstrząsane konwulsjami ciało rosyjskiego żołnierza. Jim Hastings dobiegł do Billa, podniósł Thompsona do ramienia i puścił z niego krótką serię. Nieruchome ciało oderwało się od łańcucha i pozostało na podjeździe. Za rogiem rozpętała się strzelanina. Ciężarówka stała już przy rampie. Tam też było kilku Rosjan.

Bili oparł się o rampę, załadował nowy magazynek. Wyskoczył do góry i przetoczył się po rampie. Podnosząc się na kolana, spostrzegł dwóch rosyjskich żołnierzy. Strzelił raz, drugi. Upadli na ziemię. Chłopak zerwał się na nogi. Jim Hastings i Lokaty przesuwali już wielkie skrzydło drzwi magazynu. Zniknęli w środku. Bili podbiegł do ciężarówki. Wyskoczył z niej Pete Critchfield, ściskając w ręce swój nietypowy M-16.

- Jak dotąd nieźle, Bili.

Chłopiec popatrzył na swojego dowódcę. "Motyle" znikły z żołądka i ciągle jeszcze żył.

- Jak dotąd nieźle! - uśmiechnął się.

Rozdział XXX

Pułkownik szedł przez płytę lotniska położonego u stóp Mount Thunder, gdzie panował ożywiony ruch. Roźdiestwieńskiemu przypominał on słynną operację berlińską, przeprowadzoną przez aliantów, kiedy Armia Czerwona odcięła Berlin Zachodni od kapitalistycznych Niemiec. Najrozmaitszego rodzaju transportowce lądowały, uzupełniały zapas paliwa i startowały tak szybko, jak tylko było to możliwe.

- Towarzyszu pułkowniku! Depesza z południowego wschodu! - Adiutant starał się przekrzyczeć ryk silników.

- Przeczytaj! - rozkazał pułkownik.

“Pewnie znów się skarżę, że im czegoś brak” - pomyślał.

- Centralne magazyny południowo-wschodnie, kryptonim “Łono”, spenetrowane przez dobrze uzbrojony, przeważający liczebnie oddział przeciwnika. Ofiary w ludziach i kradzież materiałów strategicznych. Wstępny raport o stratach w drodze. Podpisano...

- Nie trzeba - przerwał pułkownik - znam tego durnia! Roźdiestwieński wyrwał adiutantowi notatkę, zmiął ją i już miał rzucić na ziemię, kiedy powstrzymał się. Czuł, że zaczyna tracić panowanie nad sobą, na domiar złego w obecności podwładnego.

- Idiotą jest ten - stwierdził - kto dopuszcza do zaistnienia takiej sytuacji, do... do...

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Pułkownik przyjrzał się twarzy adiutanta. Dzieląca ich różnica wieku była minimalna, a jednak on był pułkownikiem, a tamten tylko kapitanem. Mieli też odmienne twarze. Twarz tamtego była mięsista, okrągła jak księżyc w pełni. Twarz słuźalcy.

- Natychmiast nawiążesz łączność radiową z dowódcą bazy w Nashville. Ma stawić się do aresztu, a dowództwo oddać swemu zastępcy. Połączysz się też z Chicago. Na lotnisku ma tam na mnie czekać helikopter, który przewiezie mnie do Kwatery Głównej. Oprócz tego przekażesz szefowi sztabu, generałowi Warakowi, że muszę natychmiast się z nim spotkać w sprawie najwyższej wagi. Zajmij się wszystkimi przygotowaniami do wyjazdu. Niech mój ordynans spakuje rzeczy na krótką podróż. Ruszaj!

Adiutant pobiegł truchtem przez płytę lotniska. “Zupełnie jak pies” - ocenił Roźdiestwieński.

Polecą do Chicago. Zażąda, żeby Warakow rzucił swoje siły do walki z Ruchem Oporu. W ten sposób będzie można kontynuować gromadzenie rezerw dla planu “Łono”. Zażąda też pomocy Warakowa w rozwiązaniu kwestii amerykańskiego Projektu Eden. Uśmiechnął się. Jeżeli Warakow odmówi współpracy... Przez kilka chwil obserwował lądujące i startujące samoloty. To go uspokajało.

Rozdział XXXI

Lecieli nisko. Tor lotu śmigłowców dokładnie naśladował krzywiznę gruntu. Rourke zerknął na wysokościomierz i poderwał maszynę nad niewielkim wzniesieniem. Już z daleka ujrzał, że w drodze do bunkra ktoś ich wyprzedził. Kotlinę wypełniał tłum dzikusów, a w jej środku wznosiły się dwa krzyże. Czyżby O'Neal i Rubenstein... Przeleciał nad nimi, spoglądając w dół. To, co ujrzał, potwierdziło jego obawy. Tak. Nieprzytomny Paul, może nawet martwy, i porucznik O'Neal, szarpiący sznury, którymi przywiązany był do drewnianego krzyża. W pobliżu dostrzegł Cole'a, jego dwóch ludzi i krępego mężczyznę w dziwacznej, niedźwiedziej skórze. Cole wskazywał na niego. Rourke domyślił się, dlaczego.

- Natalia? - powiedział do mikrofonu.

- Tak. Widzę. Schodzimy?

- Nie. Wrócimy, kryjąc się za tamtym grzbietem. Potem ja wejść do akcji. Doigrał się!

Rourke mocniej przygryzł cygaro.

- Trzymajcie się, chłopcy! - krzyknął do siedzących przy otwartych drzwiach i gwałtownie zawrócił maszynę.

Łopatkę śmigła poruszały się leniwie, jak gdyby obracał je wiatr. Natalia, ubrana w ciemny kombinezon, stała obok Rourke'a. Kabury pistoletów zdawały się podkreślać krągłość jej bioder. Kiedyś zwierzyła się Johnowi, że skończyła szkołę baletową. Faktycznie, w mistrzowsko przez nią opanowanej sztuce walki było coś z tańca. Rourke widział w dziewczynie wcieloną doskonałość. Po chwili zauważył, że wzrok Natalii ukradkiem wędruje ku niemu. Jej spojrzenie zawsze go niepokoiło. Zwrócił się do marynarzy:

- Wielu z was widziało, że tam, na krzyżu, wisi porucznik O'Neal. Drugą ofiarę też znacie. To mój serdeczny przyjaciel, Paul Rubenstein. Wszyscy mamy osobiste powody, by wyciągnąć ich stamtąd żywych. Nie widziałem pułkownika Teala. O ile Cole sprzymierzył się z dzikusami, pułkownik być może już nie żyje. Cole jest niebezpieczniejszą bestią niż dzikusy. Na pewno ich znacie.

- Pójdę sam - podjął po chwili. - Tego chce Cole. Jeśli wtargniemy tam wszyscy i rozpęta się strzelanina, Paul i O'Neal zginą. Zabiją ich. Cole ich zabije, jestem pewien. Natalia zostanie tutaj... Jest pilotem, a potrzeba, żeby ktoś osłaniał was z powietrza. Będziecie się musieli rozdzielić. Niektórych Natalia przewiezie ponad kotliną i zrzuci po drugiej stronie. W ten sposób będziecie mogli wziąć ich w kleszcze. Będzie jej potrzebny strzelec...

- Obsługiwałem karabin pokładowy łodzi. - Zgłosił się młody, jasnowłosy marynarz.

- Ty i Natalia dacie wsparcie z powietrza. Dalej: ktoś musi zostać przy moim śmigłowcu. Jeżeli dzikusy się przedrą, maszynę trzeba wysadzić w powietrze. Dziewczyna pokaże wam, w które miejsce wpakować serię, a nie możemy dopuścić, żeby dostał się w ręce Cole'a i dzikusów. Są ochotnicy?

Wystąpiło trzech mężczyzn.

- Schmulowitz. - Rourke wskazał marynarza, na którego zwrócił uwagę podczas potyczki na plaży. Wydawał się być opanowany. - Jeśli wysadzisz maszynę, wiej co sił w nogach i dalej radź sobie sam.

- Tak jest!

- Natalia wyznaczy dowódców oddziałów. Macie dokładnie wykonywać jej rozkazy. Ma więcej doświadczenia bojowego niż dziesięciu z was razem wziętych.

- A co z tobą? - przerwała nagle Rosjanka.

Rourke nie odpowiedział. Przesunął do przodu przewieszony przez plecy, gotowy do strzału karabin. Potem rozpiął kurtkę, żeby móc łatwiej sięgnąć po pistolet. Z kieszeni wyjął małe magnum o trzycalowej lufie i wpuścił do lewego rękawa. Zabrał je kiedyś zabitemu bandycie, tam, w Georgii, jeszcze zanim się to wszystko zaczęło.

- Zobaczą, czego chce Cole. Idę po Paula i O'Neala. Sięgnął do kieszeni i wydobył zapalniczkę. Przez chwilę obracał ją w dłoniach, potem kciukiem włączył ją. Niebiesko-żółty płomyk zadrżał na wietrze. John zapalił tkwiące w zębach cygaro.

- Nic mi nie będzie - zapewnił.

W oczach Natalii nie dostrzegł tej pewności.

Rozdział XXXII

Rourke szedł wolno przed siebie. Na szczycie wzniesienia zatrzymał się i spojrzał w kierunku bunkra. Trzymało przy nim straż kilku dzikusów. Przyjrzał się krzyżom. Rubenstein już się nie ruszał, O'Neal także przestał się szarpać.

Ruszył dalej. Dzicy wartownicy - nieruchomi, czujni - pozwolili mu podejść do krzyży. Dotknął kostki Paula i wymacał bijące tętno.

- Oddaj broń! - Postawny dzikus, uzbrojony w AK-47 (Rourke zachodził w głowę, skąd tamten go wytrzasnął), podszedł do niego i sięgnął po karabin.

Doktor przez długą chwilę przyglądał się wyciągniętej w jego kierunku dłoni, potem powoli, ruchem obojętnym, wyjął z ust cygareto i gwałtownie splunął na rękę dzikusa.

- Ty skurwysynu! - warknął tamten, rzucając się na niego. Rourke uskoczył. Jego lewa stopa wystrzeliła w górę i z obrotu trafiła w głowę przeciwnika. Dziki zatoczył się i pochylił do przodu. John pchnął go w pierś kolbą karabinu. Lufa zatoczyła łuk, łamiąc nos mężczyzny. Dzikus zachwiał się i runął na ziemię. Rourke cofnął się. Postawił stopę na lufie AK-47.

Krąg dzikusów zaczął się zacieśniać.

- Odwołaj ich, smętny kutasie! - Doktor uniósł karabin, mierząc w Cole'a.

- Rozerwę cię na strzępy! - wrzasnął w odpowiedzi Cole.

- Może najpierw dowiemy się, czego chce ten gość - rozległ się spokojny, wysoki głos.

Mężczyzna w niedźwiedziej skórze zbliżał się do Rourke'a.

- Odetnijcie ich! Natychmiast! - zażądał John.

- Nie! - zaprotestował Cole. John spojrzał wprost w jego oczy.

- Właściwie już jesteś trupem - wycedził. - Żyjesz na kredyt.

- Odetnijcie ich! - rozkazał mężczyzna w skórze. Rourke cofnął się jeszcze krok, obserwując na przemian

Cole'a i ludzi, którzy zbliżyli się do krzyży. Wysoki, żyłasty dzikus zaczął się wspinać po linach na krzyż Rubensteina.

- Opuść go delikatnie, inaczej będziesz miał pełną dupę ołowiu - ostrzegał John.

Dzikus spojrzał na niego, potakując niemal pokornie. Jego towarzysze otoczyli krzyż, ostrożnie zdjęli uwolnione z więzów, bezwładne ciało i złożyli je na ziemi.

Doktor spojrzał na twarz przyjaciela.

- John? - Paul z trudem otworzył oczy.

- Tak, Paul - szepnął. - Już dobrze

- Ja... ja...

- Spokojnie.

- Chyba zdycham, cholera!

Rourke nachylił się nad przyjacielem, lufą karabinu nakazując dzikusom się cofnąć.

- Gotowy? - Przełożył bezwładne ramiona Rubensteina przez barki i podniósł młodego

człowieka, podpierając go własnym ciałem. - W porządku?

- No - westchnął ciężko Paul. - W porządku.

Rourke patrzył na O'Neala leżącego już na ziemi z zamkniętymi oczyma. Na pierwszy rzut oka porucznik był teraz w gorszym stanie niż poprzednio, na krzyżu. Doktor dostrzegł jednak pulsującą żyłę na szyi oficera. Tętno było silne, normalne. O'Neal udawał i Rourke postanowił pozwolić mu na odegranie przedstawienia.

- Dobra, Paul. Ruszamy do przodu. Już?

- Już - kiwnął głową Rubenstein.

John ruszył, wlokąc za sobą Paula. Lufa karabinu cały czas wymierzona była w Cole'a i krępego mężczyznę w niedźwiedziej skórze i dzinsach. Zdecydował, że jeśli którykolwiek z nich się poruszy, ten w skórze zginie pierwszy.

Krąg dzikusów zacieśniał się coraz bardziej.

- Nigdy nie wyjdiesz stąd żywy, żydowski bękarcie! - syknął Cole.

- Odsuń się, Cole - Rourke zatrzymał się.

- Nazywam się Otis. - przedstawił się z uśmiechem człowiek w skórze.

Rourke kiwnął głową. - A ty?

- To jest John Rourke - wycedził przez zęby Cole.

- O! John Rourke, autor tych wspaniałych książek o przeżyciu w dziczy? To cudownie, że wreszcie mogłem pana poznać. Byłem jednym z najwierniejszych pana czytelników.

- Miło mi - stwierdził z przekąsem doktor.

- Skoro tyle wiem o panu, myślę że i pan chciałby się czegoś dowiedzieć o mnie i o tej tu gromadce moich owieczek.

Rourke nie odpowiedział.

- To wariat, John - wykrztusił Rubenstein.

- W rzeczywistości nazywamy się Braterstwem Czystego Ognia. Ja jestem najwyższym kapłanem, przywódcą duchowym, można by rzec. Jak może pan sobie wyobrazić, po całym tym wojennym zamieszaniu nadeszła pora...

- Żeby obwołać się przywódcą świrów - przerwał Rourke.

- Jeżeli chce to pan tak ująć - uśmiechnął się Otis. - Ma pan rację. Ale oczywiście w porównaniu z naszym wspólnym znajomym, Cole'em, jestem uosobieniem łagodności. Zburzenie Chicago pięcioma osiemdziesięciomegatonowymi głowicami to lekka przesada, prawda?

John spojrzał w oczy Cole'a.

- Teraz powinienes powiedzieć: "To ci się nigdy nie uda" - roześmiał się Cole. - Wiedz, że jestem lepszym patriotą niż ty. Nie włóczę się z Żydami i komunistami. Mam zamiar wykurzyć ze Stanów sowiecki Sztab Główny.

- Nie posłał cię prezydent Chambers ani Reed?

- Reed? O mały włos musiałbym go zastrzelić, kiedy zabiłem prawdziwego Cole'a, żeby zabrać mu rozkazy. Do diabła z Reedem. Ani on, ani Chambers nie mają odwagi nacisnąć guzika. Tylko ja, ja jeden mogę...

- Żegnaj - mruknął Rourke, trzykrotnie naciskając spust. Trzy krótkie serie uderzyły w pierś Cole'a, a raczej tego, który podawał się za Cole'a. Upadł na wznak, rozkładając bezwładnie ręce.

- A moja rakietka!? - krzyknął Otis wysokim, niemal kobiecym głosem. W jego prawej dłoni pojawił się wyciągnięty z pochwy nóż o szerokim ostrzu.

Doktor strzelił. Kula raniła Otisa w ramię. Upadł na niewielki, okryty brezentem pagórek, pociągając za sobą plandekę. Na ziemi leżało okaleczone, nadpalone ciało Teala. Mrówki chodziły mu po twarzy.

Tłum dzikusów nacierał. Rourke otoczony był dzidami, nożami, strzelbami. Otworzył ogień. Nie mógł chybić; siekł pociskami w zwartą masę ciał. Rubenstein nagle oprzytomniał. Teraz słyhać też było donośny huk Detonicsa, a za ich plecami charakterystyczny odgłos AK-47.

- O'Neal! - krzyknął John triumfalnie. Było ich już trzech. Sięgnął po drugi Detonics i, nie mierząc, wypalił w głowę najbliższego napastnika. Ciało padło do tyłu.

Rourke oddał karabin Paulowi i błyskawicznie sięgnął do kabury na biodrze. Sześciocalowa lufa Pythona wysunęła się naprzód, plując ogniem.

- Tędy, John! - To był głos Paula.

Rourke załadował Detonics i colta. Strzelając równocześnie z obu, cofnął się. Nagle usłyszał za sobą gwizd silnika i głośnie dudnienie łopatek śmigła.

- Natalia! - krzyknął.

Zielony helikopter nadlatywał tuż nad ziemią, a z bocznego karabinu maszynowego sypały się siedmiomilimetrowe pociski, trafiając w tłum. Wrzaski przybrały na sile. Dzicy rozbiegli się, szukając kryjówek.

- John! Tutaj!

Paul krył się za wielką ciężarówką. Rourke skoczył w tamtą stronę, posyłając za siebie trzy ostatnie naboje. Mijały go serie z automatów. Pochylił się i zniknął za samochodem.

Blady jak śmierć Rubenstein, skulony za błotnikiem, wymierzył, ale iglica broni trzasnęła głucho.

- Pusty - powiedział.

John zatrzasnął bębenek Pythona i wrzucił do chlebaka pustą ładownicę.

- Masz. - Podał broń Rubensteinowi.

Sięgnął do chlebaka, wyciągnął zapasowy magazynek do karabinu. Załadował wielkiego colta i oba Detonics'y, po czym wsunął je do kabury. Wyjął z chlebaka pozostałe magazynki do karabinu i położył na ziemi obok Paula.

- Szybko doszedłeś do siebie - zauważył mimochodem.

- Gównu! Koniec ze mną, ale głupio, ot tak, po prostu, zaryć nosem w ziemię.

- Co z tobą? - zapytał Rourke.

- Dostałem dzidą w ramię.

- Pokaż! - Rourke przesunął się do tyłu, wyjął nóż z pochwy i odciął rękaw. Rana była zakrzepła, brudna i wymagała oczyszczenia.

- John! Ta kurtka była jeszcze całkiem dobra - jęknął Paul.

- Zamknij się - warknął doktor. - Boli? Potem się za to wezmę!

Rubenstein spojrzał na niego, poprawiając okulary w drucianych oprawkach.

- Mogło być gorzej, John. Co by to było, gdybym zgubił okulary?

- No tak. Co by to było? - Rourke oparł się o ciężarówkę. - Pamiętasz jeszcze, jak się uruchamia silnik?

- Coś sobie przypominam.

- Daj mi pukawkę i wskakuj. Jak będziesz już na pełnych obrotach, startujemy do bunkra. Postaraj się rozjechać po drodze tylu dzikich, ilu zdołasz, jasne?

Rubenstein uśmiechnął się szeroko, oddał mu broń i sięgnął do klamki.

- Cholera! Zamknięte!

- Ja to zrobię - rzekł Rourke. - Odsuń się.

Wyjął z kabury Pythona, wymierzył w zamek i strzelił, odwracając głowę w bok.

- Spróbuj teraz.

Paul pociągnął za klamkę.

- Gorąca - syknął.

Klamka odpadła i drzwi otwarły się na oścież. Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu i wlaź do kabiny. Śmigłowiec Natalii po raz kolejny podchodził do ataku. Strzelanina rozlegała się też na ziemi. Z obu stron nacierała grupa desantowa. Rourke przeczołgał się pod ciężarówką na drugą stronę.

Ciężarówka zatrzęsała się, zakasłała i ruszyła. - John!

- Dobra! - Rourke pozbierał zapasowe magazynki. Wskoczył na siedzenie obok Paula. - Potrafisz prowadzić jedną ręką?

- Zmieniaj bieg, kiedy ci powiem! - krzyknął Rubenstein.

- W porządku!

John przymknął drzwi, nie wypuszczając z dłoni Pythona. Nadbiegali dzicy. Rourke uniósł rewolwer. Strzelał. Długa seria oddana przez konającego dzikusa zadudniła na przedniej szybie ciężarówki, zarysowując pajęczynę pęknięć.

- Cholera! - zaklął Rubenstein. Ciężarówka ruszyła.

Rourke wrzucił pustego Pythona do kabury. Podał Paulowi karabin.

- Ustaw prosto wóz i trzymaj kierownicę kolanem.

- Rozumiem. - Paul jedną ręką ujął karabin i wysunął go przez strzaskaną szybę.

Rourke złapał Detonics, na oślep wypalił w czepiającego się maski dzikusa. Ciężarówka powoli toczyła się naprzód.

- Zmień bieg! - krzyknął Paul.

John lewą ręką sięgnął do drążka. Zamienił się w słuch. Usłyszał zgrzyt sprzęgła. Przerzucił na dwójkę. Samochodem szarpnęło. Rubenstein przestał strzelać i opanował wóz.

Przez resztki szyby doktor dostrzegł człowieka pod drzwiami bunkra. Drzwi uchyliły się.

- Cole!

Rozdział XXXIII

Natalia sprawdziła pułap lotu. Śmigłowiec wykonał zwrot. Zerknęła na sztuczny horyzont, wprowadziła poprawkę i wyszła z zakrętu, kierując się ku największemu zbiegowisku dzikusów. Otaczali wysoką ciężarówkę na ogromnych kołach. Za kierownicą dostrzegła Rubensteina, a obok niego Rourke'a. Na przeciwległym krańcu płaskiego wzniesienia zobaczyła O'Neala, a w jego rękach znajomy kształt AK-47.

- Strzelec, kiedy będziesz gotów - ognia! Równam lot! - rzuciła przez ramię.

- Tak jest! - odchrząknął strzelec.

Posłyszała terkot pokładowego karabinu maszynowego M-60. Miała nadzieję, że śmigłowiec zaopatrzonej jest w boczną osłonę, chroniącą nogi strzelca. Marynarz pruł po atakujących ciężarówkę dzikusach. Gęsty ogień podniósł się w kierunku śmigłowca.

Nagle serce zamarło jej w piersi. Do bunkra wchodził człowiek. Był to Cole!

Ściągnęła do siebie stery, wspinając się na manewrową wysokość. Rzuciła maszynę w ostry zakręt.

- Trzymaj się, strzelec! - Okay!

Helikopter leciał teraz wprost na bunkier. Gwałtownym łukiem ustawiła go burtą do drzwi.

- Strzelec! Skoś tego faceta, który wchodzi do bunkra!

W odpowiedzi rozległ się terkot karabinu maszynowego. Natalia patrzyła, jak pociski gonią cel, ryjąc bruzdy w ziemi. Seria uderzyła w drzwi, ale Cole już zniknął we wnętrzu bunkra.

- Do diabła! - syknęła. Ściągnęła stery, ponownie zakręciła nabierając wysokości. Zanurkowała. Musiała teraz rozpędzić okrążających ciężarówkę dzikusów, żeby Rourke i Rubenstein mogli dogonić Cole'a.

Rozdział XXXIV

Rourke załadował oba pistolety i wysunął je przez okno. W tej samej chwili na maskę ciężarówki rzucił się dzikus uzbrojony w maczetę.

- John! - krzyknął Rubenstein.

Doktor wystrzelił. Ciało zsunęło się z maski. Wóz podskoczył. Spod kół ciężarówki dobiegł niehumaniczny wrzask.

Do bunkra było już nie więcej niż sto jardów. Rourke cały czas strzelał w tłum. Od czasu do czasu ciężarówka zarzucała raptownie, kiedy Paul puszczał kierownicę, żeby nacisnąć spust karabinu wystawionego przez boczne okienko.

Cole zniknął.

Nad ich głowami huczał śmigłowiec Natalii, siekąc pociskami w tłum napastników, usiłujących zatrzymać ciężarówkę zwartą ścianą ciał. Powietrze gęste było od krzyżujących się serii.

Pod drzwiami bunkra pojawiła się kolejna sylwetka. Był to O'Neal. John widział, że oficer cofa się, z całej siły kopie w drzwi bunkra, potem usiłuje rozbić zamek serią ze zdobycznego AK-47.

Rourke raz po raz naciskał języki spustowe Detonics'ów. Ciężarówka toczyła się naprzód, roztrzaskując atakujących, miażdżąc kołami ciała. Kolejna seria trafiła w przednią szybę. Doktor wychylił się i dwoma strzałami położył dzikusa, uzbrojonego w pistolet maszynowy.

Jeszcze pięćdziesiąt jardów. Rourke wymienił zużyte magazynki. Wystrzelił przez okno, kładąc następnego szaleńca, otworzył drzwi kabiny i stanął w nich, trzymając się dachu ciężarówki.

- Cofnij się! - krzyknął do O'Neala. - Staranujemy drzwi! - Paul! Zostaw wóz na dwójce i gaz do dechy! Przykucnij za kierownicą, ja zdążę wyskoczyć!

- Dobra! - odkrzyknął Paul.

Rourke schował jeden z pistoletów do kabury na biodrze. Wychylił się. Jeszcze dwadzieścia pięć jardów! Teraz biegł w ich stronę potężny mężczyzna odziany w coś, co wyglądało na psie skóry. W rękach miał pistolet maszynowy. Za chwilę na ciele mężczyzny wykwitły jaskrawe, czerwone plamy. Upadł do tyłu, przewracając tłoczących się za nim ludzi.

Jeszcze dziesięć jardów! Ryk silnika przybrał na sile. Wzmogła się też wibracja. Pięć jardów od bunkra Rourke wyskoczył, oglądając się przez ramię na Rubensteina. Ciężarówka ryknęła jeszcze głośniejsze, kiedy Paul z całej siły przycisnął gaz do dechy.

John wyskoczył. Wysoki, szczupły dzikus, którego potężnych mięśni nie przysłaniały obcięte nad kolanami dzinsy i futrzane poncho, zamierzał się na niego długim nożem; doktor na oślep sięgnął po drugi pistolet, odskoczył w bok i wystrzelił prosto w gardło napastnika. Posłyszał huk i zgrzyt metalu. Spojrzał w stronę bunkra. Zewnętrzne drzwi były wgniecione. Rzucił się biegiem w tamtym kierunku, gdy natarła nań kobieta z rewolwerem. Roztrzaskał jej czaszkę. Potem inny dzikus. Dwa strzały w pierś. Ciało osunęło się na ziemię.

Już był przy ciężarówce. Przez otwarte drzwi kabiny dostrzegł Paula, który leżał w poprzek siedzenia.

- Paul! Co jest?

Chłopak podniósł głowę.

- Dobrze, dobrze, nic mi nie jest.

- Padnij! - krzyknął nagle Rourke i wystrzelił trzykrotnie, masakrując twarz mężczyzny, który przez otwarte drzwi zamierzył się na Paula nożem rzeźnickim.

Rubenstein przetoczył się po siedzeniu, podniósł karabin i przez drzwi kabiny zaczął strzelać.

Rourke, dzierżący dwa puste pistolety, odwrócił się w chwili, gdy rzucił się na niego niski, gruby dzikus w dzinsach i zwierzęcej skórze. John zatoczył się od silnego ciosu i uderzył plecami w ścianę bunkra, poczuł ból otartej skóry. Dzikus zaciskał dłonie na jego gardle. Doktor upuścił pistolet, odszukał nóż i wbił go w żebra napastnika. Krzyk, klątwa i dzikus cofnął się nieco, uwalniając przyciśniętą do ściany rękę Rourke'a. Uderzeniem kolby John złamał dzikusowi nos, kopnięciem w krocze powalił go na ziemię. Następnie uskoczył, pośpiesznie zmieniając magazynek. Następna seria zmiotła dzikusa mierzącego doń dzidą. Rourke oparł się o ścianę bunkra. Oddychał ciężko.

Po chwili odpoczynku sięgnął po leżący na ziemi pistolet. Przeładował go, potem schował nóż. Paczka magazynków była pusta, zostało mu tylko parę w chlebaku i za pasem.

- John, chodźże!

Spojrzał w prawo. Rubenstein i O'Neal zniknęli w wyważonych drzwiach bunkra.

Spojrzał w górę. Helikopter Natalii zataczał kolejny łuk nad polem bitwy.

Rourke przeskoczył przez maskę ciężarówki, strzelając w pierś mężczyzny z dzidą. Zaczął przepychać się przez wąską szczelinę między drzwiami a futryną.

- Tutaj!

Był już w wąskim korytarzu. W ciemności ktoś dotknął jego ręki.

- To ja, John.

Przez szparę widział, jak dzicy przygotowują się do ataku na drzwi bunkra. Na ich czele stał Otis, ściskający dłonią ramię. Między palcami ciekła mu krew.

Rourke obejrzał się. Oczy stopniowo przyzwyczajały się do panującego tu mroku. Zdjął okulary słoneczne i wepchnął je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Cofnijcie się, najdalej, jak się da. Szybko!

Sam też się cofnął. Podniósł pistolet i zastanowił się chwilę, próbując wybrać miejsce, w które musiał strzelić, aby wysadzić ciężarówkę. Strzelił w pompę paliwową i odskoczył do tyłu. Samochód eksplodował. Żar wysysał powietrze z bunkra. Rourke odetchnął, zakrztusił się. W dłoniach wciąż jeszcze zaciskał pistolety. Z zewnątrz dobiegały wrzaski.

Wstał z trudem i zataczając się, poszedł dalej w ciemność tunelem, który prowadził do serca bunkra.

“Cole przygotowuje rakiety. Mogą zginąć miliony ludzi” - pomyślał. “Trzeba się śpieszyć”.

Rozdział XXXV

Przy drugich drzwiach, zaopatrzonych w zamek szyfrowy Rourke zostawił Paula z O’Nealem i rzucił się w pościg. Niski i wąski korytarz oświetlało słabe światło lamp.

John słyszał szum pracujących generatorów. Domyślał się, że oświetlenie i system wyrzutni podłączone są do tej samej sieci elektrycznej. Na końcu tunelu paliło się jaśniejsze światło. Rourke przyspieszył, zaciskając w dłoni pistolet. “Jeśli będzie trzeba, zabiję Cole’a z zimną krwią, żeby go powstrzymać.” - pomyślał.

Koniec korytarza oddalony był o niecałe dwadzieścia jardów. Doktor biegł z odchyloną głową, szeroko otwartymi ustami łowiąc chłodne, zatęchłe powietrze. Pośliznął się, zatoczył na futrynę drzwi i wpadł do sterowni.

Cole stał pochylony nad konsolą z niezliczonymi światelkami i przełącznikami. Szeleściły przewijane taśmy komputera.

- Stój!

Kapitan odwrócił się, odsłaniając nierówne zęby w szyderyczym uśmiechu. Oczy mu błyszczały.

- Za Amerykę! - krzyknął, rzucając się na najbliższą konsolę. Oba pistolety Rourke’a zaczęły strzelać, raz za razem. Ciało Cole’a powoli osuwało się z konsoli.

Jak na filmie oglądanym w zwolnionym tempie Rourke ujrzał, że ręka rannego naciska jeden z guzików - czerwony!

Sterownię zalało czerwone światło. Ciało Cole’a upadło na podłogę, przetoczyło się i znieruchomiało. Otwarte oczy martwo patrzyły w górę. Z głośnika rozległ się mechaniczny głos komputera:

- T minus dziesięć minut i odlicza. Uruchomiono nieodwołalną sekwencję odpalenia. T minus dziesięć minut, czterdzieści pięć sekund i odlicza.

Rozdział XXXVI

Rourke pokręcił gałką radiostacji, modląc się w duchu zęby fala elektromagnetyczna - ta sama fala, która unicestwiła łączność w bazie lotniczej zmarłego pułkownika Teala, nie dotarła tak głęboko pod ziemię.

- Wzywam śmigłowiec! Natalia! Odbiór, psiakrew John? Gdzie...

- Nie ma czasu! W bunkrze! Rakiety wylatują ! Mechaniczny głos:

- "T minus osiem minut, pięćdziesiąt sekund i odlicza "

- Myślisz?

- Tak... tak!

- Ląduj! Ja pędzę do silosu. Spróbuję rozbroić system elektryczny wyrzutni. Ta konsola tutaj jest pancerna, nie mogę się do niej dostać. Pośpiesz się, musimy spróbować. Bez odbioru.

Rourke rzucił mikrofon i w mgnieniu oka znalazł się na metalowych stopniach prowadzących wprost do tunelu używanego przy remontach i okresowych kontrolach silosu.

Biegł i modlił się.

Rozdział XXXVII

- Łądujemy! Muszę pomóc doktorowi Rourke! - krzyknęła Natalia do marynarza.

- Tak jest!

Zatoczyła krąg, wypatrując bezpiecznego miejsca do lądowania. Nie było takiego. Zdecydowała się na teren w miarę równy, oddalony o dwieście jardów od wejścia do bunkra.

- Trzymaj się! - rzuciła, schodząc w dół.

Walczący na ziemi oddział zwierzał szeregi, usiłując zapewnić jej osłonę. Dzikusów była jeszcze co najmniej setka. Z cizby pod drzwiami bunkra dolatywały odgłosy strzelaniny. Ciężarówka ciągle płonęła.

Natalia mocno trzymała stery. Śmigłowiec dotknął ziemi. Wyłączyła silniki i wyskoczyła z kabiny, łapiąc po drodze pistolet maszynowy. Dzicy byli wszędzie, a ona musiała dotrzeć do bunkra.

- Hej, pani major! To nam powinno pomóc.

Obejrzała się. W drzwiach śmigłowca pojawił się obwieszony taśmami strzelec, taszczący karabin maszynowy wymontowany z pokładu śmigłowca. Lufa zaczęła pluć ogniem w tłum nacierających.

Natalia puściła się biegiem przed siebie.

- Za mną, do bunkra! - wołała do walczących marynarzy. Ludzie skupili się koło niej. Klinem wcieli się w tłum dzikich. Natalia biegła na czele, seriami kosząc przeciwników zagrządzających jej drogę.

Suchy szczęk oznajmił jej, że magazynek jest pusty, więc z rozmachem wbiła kolbę w twarz atakującego ją, uzbrojonego w dzidę dzikusa. Mężczyzna osunął się na ziemię. Rzuciła karabinem w innego, nadbiegającego z boku i, pośpiesznie otwierając kabury na biodrach, wyszarpnęła z nich rewolwery z amerykańskimi orłami na okładzinach. Były to te same rewolwery, które Chambers wręczył jej na znak przyjaźni i w podziękę za pomoc w ewakuacji Florydy. Wypaliła z obu naraz. Trafiła w pierś mężczyzny, mierzącego do niej z karabinu. Biegła dalej.

Komandosi zbliżali się do wejścia bunkra. Przy ciężarówce skupiła się grupa dzikusów pod wodzą mężczyzny w dzinsach i niedźwiedziej skórze. Z wnętrza bunkra dobiegały strzały. Natalia domyśliła się, że to Paul z porucznikiem O'Nealem bronią wejścia.

- Załatwcie tego w skórze, musi być dowódcą! - krzyknęła. Dzicy przerwali ostrzał bunkra i zwrócili się w kierunku grupy desantowej. Ludzie z oddziału Natalii padali na ziemię, ale pozostali parli naprzód, kładąc pokotem przeciwników.

Natalia wepchnęła do kabur puste rewolwery i pochyliła się, porywając z ziemi porzucony karabin. Posłała serię w tłum. Nawołując swoją eskortę, zaczęła znów torować sobie drogę za pomocą karabinu użytego jako dzida albo pałka. Uderzała kolbą lub lufą w głowę, w twarz.

Nagle zatrzymała się. Sześciu dzikusów ciasno skupiło się wokół przywódcy. Grupa desantowa w podobny sposób otoczyła ją samą.

Natalia odrzuciła bezużyteczny karabin. Sięgnęła do kieszeni po nóż sprężynowy. Ostrze

wyskoczyło z rękojeści. Zamknęła nóż i otworzyła go znowu.

Zbliżała się do krępego przywódcy, okutanego w niedźwiedzią skórę. W jego okrwawionej dłoni też pojawił się nóż podobny do krótkiego miecza.

Rzucił się do przodu. Natalia cofnęła się o pół kroku, zamykając nóż, ale już po chwili ostrze błysnęło z powrotem. Trafiła w próżnię. Znow się cofnęła, parując cięcie przeciwnika. Gwałtownym pchnięciem natarła na niego. Ostrze noża przejechało po szyi mężczyzny. Bluznęła krew. Przywódca dzikich padł na ziemię.

Natalia pochyliła się i otarła zakrwawione ostrze o niedźwiedzią skórę. Wokół leżały trupy. Część osłaniającego ją oddziału trzymała się jeszcze na nogach. W pobliżu śmigłowca rozlegały się strzały, ale zagłuszał je łoskot ciężkiego karabinu pokładowego.

- Paul! To ja, Natalia! Muszę wejść do środka! Zerknęła na Rolex na lewym przegubie. Do wystrzelenia rakiet pozostało jeszcze tylko pięć minut. Jeśli zapłon nastąpi, zanim ona i Rourke zdążą uciec z tunelu, zamienią się w ułamku sekundy w parę wodną.

- Paul!!!

- Natalia, wchodzi! - padła odpowiedź.

Pędem rzuciła się do środka.

Rozdział XXXVIII

Rourke śrubokrętem, który zwykle nosił przy sobie, odkręcał ostatnią śrubę, przytrzymującą pokrywę konsoli. Miał nadzieję, że to właśnie jest główna deska rozdzielcza systemu elektrycznego. Pociągnął za krawędź metalowej płyty. Pokrywa ani drgnęła. Wydobył z pochwy czarny, chromowany nóż i podważył ją. Odskokczyła z trzaskiem, który głośnym echem odbił się w tunelu.

- T minus pięć minut dwadzieścia pięć sekund i odlicza. T minus pięć minut dwadzieścia sekund i odlicza, T minus pięć minut piętnaście sekund i odlicza - sączyło się z głośnika.

- Zamknij się! - ryknął. - Zamknij się, psiakrew!

- T minus pięć minut pięć sekund i odlicza... - odpowiedział głos komputera.

Pod pokrywą znajdowała się plątanina różnokolorowych przewodów. Rourke sam zakładał instalacje zarówno w swoim domu, jak i w schronie. Potrafił skonstruować system zapłonowy konwencjonalnej bomby, ale nigdy w życiu nie widział podobnego labiryntu. Wiedział, że zwykle w takich konstrukcjach część przewodów kończy się ślepo z jednej lub dwu stron. Część to detonatory-pułapki, mogące przepalić wszystkie bezpieczniki systemu, a wtedy rozbrojenie go stanie się niemożliwe.

- Cholera! - wysapał.

-... T minus cztery minuty pięćdziesiąt sekund i odlicza...

Zerknął w lewo. W słabym świetle połyskiwał statecznik najbliższej rakiety, tej, która miała zostać wystrzelona jako pierwsza. Podczas startu płomień z jej silników zamieni go w obłok pary, zanim będzie miał szansę uświadomić sobie, co się stało.

-... T minus cztery minuty czterdzieści sekund i odlicza...

- Cicho! - Rourke wyszarpał z kabury pistolet i strzelił w głośnik, umieszczony nad wejściem do tunelu. Głos płynął jednak nadal, tylko cichszy, z innego głośnika.

- T minus cztery minuty trzydzieści pięć sekund i odlicza...

Rourke schował broń, wpatrując się w kolorowy deseń przewodów.

- Natalia, chodź już, na litość Boską, chodź! - powtarzał. Znała ten system lepiej niż on. Przeglądała wykradzione przez sowiecki wywiad plany. Po raz pierwszy w życiu John modlił się, żeby informacje rosyjskiego wywiadu okazały się dokładne.

Dotknął najbliższego, niebieskiego przewodu. Cofnął dłoń. Był pewny, że w razie porażenia prądem skóra rękawiczki nie będzie dostateczną ochroną. Ujął śrubokręt i uważnie przyglądał się, dokąd biegnie drut.

- T minus cztery minuty dwadzieścia sekund i odlicza... - informował bezlitośnie głos.

“Czy ta maszyna nie wie, że wybuch uciszy i ją?” - pomyślał Rourke z rozpaczą.

Rozdział XXXIX

- T minus cztery minuty piętnaście sekund i odlicza... Natalia usłyszała głos komputera, spojrzała na moment w martwe oczy Cole'a i pobięła dalej. Ledwie dotykając stopami betonowej posadzki, dopadła drabiny i przeskakując po trzy stopnie, znalazła się na niższym poziomie bunkra. Wpadła do tunelu.

- T minus cztery minuty pięć sekund i odlicza... Ten głos doprowadzał ją do szału.

Rourke usłyszał kroki i uniósł głowę.

- T minus trzy minuty dwadzieścia sekund i odlicza. T minus trzy minuty piętnaście sekund i odlicza. T minus trzy minuty dziesięć sekund i odlicza. T minus trzy minuty pięć sekund i odlicza. T minus trzy minuty do nieodwołalnego odpalenia rakiet. Dwie minuty pięćdziesiąt pięć sekund do odpalenia. T minus dwie minuty pięćdziesiąt sekund i odlicza...

- Natalia! - krzyknął John na cały głos. - Natalia! Pośliznęła się, upadła na kolana obok deski rozdzielczej.

Sześć przewodów już usunął, trzy były przecięte. Właśnie trzymał w palcach czwarty.

- Czy coś się stało, gdy je przeciąłeś? - powiedziała zdyszana.

- Nic, do cholery! - warknął.

- To potrwałoby parę godzin; jeśli nastąpi spięcie, automatycznie uruchomi się wyrzutnia.

- Cholera! - rzucił ochryple.

- Zginiemy, John. Chcę, żebyś wiedział, że cię kocham.

- Ja też cię kocham.

- Zostaw ten drut. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu dla siebie. Chciałabym się z tobą kochać.

- Nie... dlaczego mam go nie przecinać?

- Sarah nigdy nie zrozumie, jakie miała szczęście. Że właśnie ją wybrałeś, że byłeś jej wierny.

Rourke oderwał wzrok od kabla, wystającego z deski rozdzielczej.

- Natalio, ja... to nie dlatego, że ty... Spuścił głowę. - Widzisz, taką mam już naturę. Nie mógłbym, chociaż bardzo tego pragnąłem...

Znów podniósł na nią wzrok. Ujął jej dłoń i mocno ścisnął w obu rękach.

- Nigdy nie kochałem nikogo tak jak ciebie - szepnął.

- Będę cię kochać nawet po śmierci.

-... T minus dwie minuty pięć sekund i odlicza. T minus dwie minuty i odlicza...

- Musi być jakiś sposób, żeby to zatrzymać! - wybuchnął Rourke.

Natalia obejrzała się, coś nagle przykuło jej uwagę. John patrzył, jak podnosi odrzuconą pokrywę.

- To osłaniało przewody - wyjaśnił.

- Osłaniało... - cisnęła pokrywę i z nieoczekiwanym uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję. Poczł na ustach jej pełne wargi.

- Wiem już - wyszeptała bez tchu. - Jeśli odnajdę przewód wczesnego zapłonu, będę mogła

uruchomić sekwencję kontrolną i pierwsza rakieta buchnie płomieniem...

- Co ty wygadujesz?

- Pokrywa, John! To właśnie po to... To w środku, wszystko tutaj jest ognioodporne! Rakiety startują kolejno. Gdyby urządzenia dyspozytorskie nie były ogniotrwałe, zapłon silnika pierwszej rakiety zniszczyłby je. Reszta rakiet byłaby unieruchomiona. Teraz instalacji nie chroni już żaroodporna płyta pokrywy. Jeśli uda mi się uruchomić próbny zapłon, instalacja wyparuje w płomieniach i cały system będzie martwy!

- My też - przypomniał.

- Być może nie! Jest szansa, że uda się opóźnić próbny zapłon, choćby o kilkanaście sekund, zedrzeć instalację i połączyć ten przewód z innym, rozgrzanym... na przykład oświetleniowym!

- Jeżeli wiesz, o czym mówisz, zrób to. Ja już się całkiem pogubiłem.

- Biegnij. Ja to zrobię.

- ... T minus minuta trzydzieści pięć sekund i odlicza. T minus minuta trzydzieści sekund i odlicza - rozległ się buczonek, głos z komputera zwiększył natężenie. - T minus minuta dwadzieścia pięć sekund i odlicza...

- Zostanę z tobą. Nie opuszczę cię. Nie mogę. Spojrzała na niego. Jej oczy kolejny raz go zafascynowały, skórę miała tak jasną i delikatną, włosy tak czarne... Na czoło spadł jej kosmyk, odruchowo uniosła rękę, żeby go odrzucić.

- Weź moje rękawiczki... poprosił John.

- Mam własne - uśmiechnęła się. - Twoje będą za duże. -... T minus minuta piętnaście sekund i odlicza... Natalia już zaczęła przerzucać przewody, podczas gdy Rourke pomagał jej włożyć lewą rękawiczkę, dopasowaną jak druga skóra. Prawą wciągnęła sama, nie spuszczając wzroku z instalacji.

- Wydaje mi się, że to ten drut, ale nie mam możliwości sprawdzić. Wydaje mi się, że ten. Nie mam pewności - powiedziała w końcu.

- T minus minuta pięć sekund i odlicza. T minus minuta nieodwołalnego zapłonu. Wstępny zapłon za dziesięć sekund. T minus czterdzieści pięć sekund... - rozległo się z głośnika.

- To jest to! Wstępny zapłon. Mam go tutaj!

Jej ręce gorączkowo poruszały się w plątaninie przewodów mignął wyrwany drut, w prawej dłoni błysnęło stalowe ostrze noża, tnące plastikową izolację przewodu.

- Wstępny zapłon...

- John! - Natalia z krzykiem upadła na plecy.

Złapał ją w objęcia, czując prąd przenikający jej ciało. Oderwał ją od tablicy rozdzielczej. Oddychała z trudem.

- T minus dwadzieścia pięć sekund. T minus dwadzieścia... Głos został zagłuszony przez ryk silnika rakiety. Rourke podniósł się, dygocząc jeszcze po wstrząsie, przyciągnął do siebie nieprzytomną Natalię i wziął ją na plecy.

Ryk silnika był ogłuszający. Kula ognia zaczęła wypełzać z dyszy najbliższej rakiety.

Rourke skoczył przed siebie. Buczonek wciąż wył, głośniejszy niż dotychczas, ognista piłka z rykiem toczyła się za nim, potworne gorąco sprawiało, że miał wrażenie, iż płuca mu płoną.

- Nie umrę! - wykrztusił, uciekając przed eksplozją ciasnym tunelem. Instalacja oświetleniowa na stropie płonęła już, rury jarzeniówek wybuchały, obsypując go deszczem ostrych okruchów szkła.

Czuł opar płonącego paliwa. Ukradkowe spojrzenie przez ramię upewniło go, że ogień jest tuż za

nim.

Przed sobą widział już drzwi do tunelu. Biegł, łapiąc otwartymi ustami gorące powietrze.

Do ogniotrwałych drzwi pozostało jeszcze jakieś dwadzieścia jardów. Piętnaście jardów. Dziesięć jardów. Obejrzał się. Płomienie doganiały go. Potknął się o coś, ale złapał równowagę. Rzucił się do drzwi, zatrzasnął je. Poszukał ręką rygla, parząc sobie palce.

Metalowe drzwi zaczęły się topić. Może pięćdziesiąt jardów przed nim była drabina, prowadząca w górę, do sterowni.

- John...

Kaszel. Głos Natalii.

Rourke zwolnił, zatoczył się na ścianę i postawił dziewczynę na nogi. - Co jest?

- Eksplozja. Drzwi się topią - wykrztusił.

Jak gdyby dla potwierdzenia jego słów rozległ się huk, a tuż za nim ryk wybuchu. Drzwi puściły.

- Biegnij! - Popchnął ją.

Pobiegła przodem. Rourke biegł za nią, z trudem opanowując drżenie mięśni. "Biegnij! Biegnij!" - przynaglał siebie w duchu.

Dwadzieścia pięć jardów do drabiny. Dwadzieścia. Wszystko wokół płonęło. Żar lizał jego osłoniętą szyję. Ryk ognistej kuli był teraz tak głośny, że John nie słyszał nawet własnego ciężkiego oddechu.

Dziesięć jardów. Pięć.

Natalia po dwa stopnie na raz wspinała się do góry.

Rourke dopadł drabiny. Ręce dziewczyny wyciągnęły się w dół po niego. Nie było czasu, nie było sensu się spierać. Podał jej rękę. Wciągnęła go na górny poziom. Potknął się, przeskoczył nad ciałem Cole'a. Biegli dalej.

- Paul! Uciekajcie! Szybko! - krzyknęła Natalia.

Doktor znów się potknął. Oparł się ręką o ścianę. Rozgrzany beton parzył przy dotyku. Przed nim, w blasku dnia, majaczyła sylwetka Natalii. Lampy wciąż wybuchały. Sufit płonął. Kula ognia toczyła się szybciej w kierunku, skąd dopływał tlen.

Pięć jardów do drzwi. Dwa jardy. Natalia była już na zewnątrz. Rourke rzucił się za nią do wyjścia, minął wypaloną ciężarówkę, uskoczył w bok i potoczył się po ziemi, rękami osłaniając twarz.

Z tunelu buchnął ogień.

Po pewnym czasie John ostrożnie odsłonił twarz. Było cicho. Na niebie nie zobaczył smug pozostawionych przez lecące rakiety.

Był zbyt wyczerpany, żeby spoglądać na zegarek. Usłyszał, jak Natalia czołga się na czworakach w jego kierunku. Położyła się na ziemię obok niego. Usłyszał jej głos, poczuł, jak jej dłoń dotyka jego poranionej, poparzonej szyi.

- Nigdy nie widziałam paskudniejszej opalenizny - roześmiała się.

Rourke objął ją ramionami i przytulił do siebie. Zamknął oczy.

Rozdział XL

- Złapaliśmy Pana Boga za nogi, a właściwie to wszyscy go złapali - powiedział O'Neal. - Kiedy kula ognia otrzymała z zewnątrz dopływ powietrza, stała się tak gorąca, że stopiła wszystko z wyjątkiem betonu. Tunel został zalutowany na amen, zanim to zdążyło wykipieć. Ani śladu promieniowania.

Rourke podniósł głowę. Leżał na ziemi, a Natalia wcierała mu maść w poparzoną szyję.

- Moglibyśmy założyć ładunki wzdłuż grzbietu pagórka i zasypać wejście do bunkra. Tylko co się stanie, jeśli kiedyś będzie trzęsienie ziemi? - zapytała Natalia.

- Nie zbudowaliśmy czegoś takiego na obszarze aktywnym sejsmicznie. O ile podczas Nocy Wojny nie powstał nowy uskoki tektoniczny, powinniśmy mieć z tym spokój raz na zawsze - odrzekł Rourke.

- Za tysiąc lat może się ktoś do tego dokopie... - wtrącił Paul.

- Może za tysiąc lat ktoś będzie na tyle mądry, że zostawi to w spokoju - mruknęła Natalia.

- To wstyd, że nasze narody nie zdołały się dogadać, choć mogły jak my tutaj, zanim to się stało. Komu była potrzebna Noc Wojny? - powiedział Rubenstein.

Był nagi do pasa. Lewe ramię i bark pokrywała gruba warstwa bandaży. Oczy miał szkliste po zażyciu środka przeciwbólowego, który dał mu Rourke, zanim zabrał się do opatrywania rany.

- Może kiedyś... - O'Neal mrużył oczy w słońcu.

- Może ktoś będzie pamiętał, co było w tym miejscu. Może postawią tu jakąś tablicę?

Słońce było krwistoczerwone.

- Może kiedyś... - szepnął Rourke.

Rozdział XLI

Ojciec... Bili jeszcze nie przyzwyczał się do myśli, że już go nie ma. Ciągłe pamiętał kłującą, nie ogoloną brodę. Chociaż był już prawie dorosłym mężczyzną, nadal miał zwyczaj całować ojca w policzek. Ciepła, wilgotna od potu skóra i dłoń - sucha i twarda, silnie ujmująca jego chłopięcą rękę... Z ojcem zwykle się dogadywali, mimo że nie zawsze byli jednomyślni.

Sukces ataku na Nashville był dla Billa w pewnym sensie udaną zemstą. Ojciec zginał w podobnej akcji. Bili uświadomił sobie nagle, że rozpiera go duma, ojciec byłby z niego zadowolony. Jednocześnie czuł, że boi się bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Dzięki akcji zaopatrzyli się w broń, amunicję, w leki, ale okolice pełne były teraz rosyjskich patroli.

Dorosła duma i dziecięcy lęk o życie... Bili płakał. Szedł dźwigając taśmy z nabojami do M-16 i dwie skrzynki pocisków kalibru 5.56. Pete i inni szli daleko w przedzie ciemności. Tylko milczące drzewa widziały łzy Billa.

Sarah Rourke, zmieniająca właśnie opatrunek czarnoskóremu mężczyźnie, uniosła nagle głowę. Ranny także się poruszył. Też coś usłyszał. Sarah sięgnęła po pistolet i odbezpieczyła go.

- Co to? - szepnęła Mary Mulliner.

- Pst! - uciszył ją Michael.

Annie, która pomagała przy opatunku (głównie przez rozśmieszanie rannego), kurczowo uczepiła się ręki matki.

- Pani Rourke? To my!

Z mroku doleciał głos Billa Mullinera. Razem z nim na polanę wkroczył Pete Critchfield. Sarah poczuła straszny smród jego cygara, zanim jeszcze do niej podszedł.

- Jak wam poszło?

- Straciliśmy dwóch ludzi - odparł Pete. - Reszta jest z Jimem i Lokatym. Taszcza łupy.

- Wyrażasz się jak kryminalista - powiedziała ze złością. - Nie nazywaj łupem amerykańskich towarów odebranych Rosjanom.

- W porządku. No więc, taszcza towary: broń, amunicję, materiały wybuchowe, leki. Masz tu leki i trochę granatów. Bili da ci naboje, a Tom - nie znasz Toma - ma dla ciebie jeszcze trochę opatrunków.

- Pani Rourke. - Ukłonił się stojący za Pete'em Murzyn.

- Tom - domyśliła się i skinęła głową.

- Dwaj zostali na czatach przy drodze - ciągnął Critchfield. - Rosjanie są teraz wszędzie.

- Wygląda na to, że przeprowadziliście wielką akcję - uśmiechnęła się.

- I owszem, zniszczyliśmy wóz z amunicją, posłaliśmy na tamten świat ze dwudziestu czerwonych, zapakowaliśmy jedną ciężarówkę po sam dach, a resztę zapasów wysadziliśmy w powietrze. Ruscy zbaranieli - zaśmiał się Pete.

Ranny leżący na ziemi obok nich roześmiał się także.

- Bijesz się prawie tak dobrze jak czarni, Pete! - powiedział.

- Leż spokojnie. - Sarah pogłaskała swojego pacjenta po głowie. - Będziesz się śmiać, jak wyzdrowiejesz.

- Zrobię wam trochę kawy - stwierdziła Mary Mulliner z miną, która wskazywała na to, że wcale jej się to wszystko nie podoba.

- Świetnie, mamó.

Uwagę Sarah przykuła dziwna, obca nuta w głosie Billa. Twarz chłopca, znużona i zmieniona przez strach, sprawiała wrażenie, jakby Bili nagle się postarzał.

- Jeśli dostali Davida Balfry żywego - mówił Critchfield, grzejąc zmarznięte dłonie nad kubkiem kawy - nie spoczną, póki nie wyciągną z niego wszystkiego, co wie o podziemiu. A wie dużo.

- Niech Bóg ma w opiece jego i nas - szepnęła Sarah.

- Amen - dodała cicho Mary Mulliner.

- Mamusiu, przytul mnie, zimno mi! - Rozkaprysiła się nagle Annie. Sarah objęła dziecko.

- Nie mogliśmy spróbować go odbić? - spytał niespodzianie Bili. W świetle ogniska obcym blaskiem lśniły jego szeroko otwarte oczy, strzecha rudych włosów zdawała się płonąć.

- Davida? - zapytał Critchfield. - Z Chicago? Tam go zabrali. Pewnie nafaszerują go narkotykami, żeby zaczął mówić. Davida po prostu już nie ma. On sam też chciałby, żebyśmy o nim tak właśnie myśleli. Lepiej poświęcić jedno życie niż popełnić zbiorowe samobójstwo, próbując go stamtąd wyciągnąć. Nie, my powinniśmy robić swoje. Tego by chciał David. Powinienem teraz skontaktować się z Kwaterą Główną II USA, z tym gościem z wywiadu, Reedem, i zobaczyć, czy wie coś o tej akcji Rosjan ze ściąganiem zapasów. Niedaleko jest farma Cunninghamów. Przed wojną hodowali konie. Piękne sztuki. Ale oprócz tego stary Cunningham był radioamatorem. Jego radiostacja jest jeszcze cała. Nigdy tam nie kwaterowaliśmy, trzymaliśmy ich dom w odwodzie, żeby był czysty, jak mówią w szpiegowskich filmach. Teraz przyda nam się i dom, i radio starego.

- Mieszkaliśmy w pobliżu Cunninghamów. Oni nie żyją - przerwał Bili. - Był napad...

- Bandydzi? - spytał Michael.

- Bandydzi - przyświadczył Critchfield. - Spalili dom i stajnie, ale stary miał swój składzik w piwnicy. To był przewidujący facet. Taki sam był John Rourke.

- Jest - poprawiła go odruchowo Sarah.

- Oczywiście, Sarah, jest - potaknął Critchfield. - Bandydzi zabili Cunninghamów, ale piwnica pozostała nietknięta. Wystarczy, żebyśmy zamontowali jakąś antenę i możemy skorzystać z radiostacji. Jest tam też żarcie i trochę amunicji. Sześć godzin marszu i jesteśmy na miejscu.

- No to chodźmy - rzekła Sarah. - Większość moich rannych może chodzić, a tego postrzelonego w nogi będzie można ponieść. Jest silny, wytrzyma drogę.

- A więc zgoda? - Critchfield powiódł wzrokiem po twarzach swoich ludzi.

- Zgoda - odparł Bili.

- Zgoda - wykrzyknęła Annie i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Sarah. Myślała o Davidzie Balfrym. Kiedyś byli sobie bliscy, teraz czekało go coś, o czym wołała nie myśleć.

Wokoło byli Rosjanie i jeśli udałoby się oddziałowi dotrzeć bez przeszkód na farmę Cunninghamów, graniczyłoby to z cudem. Był jeszcze przecież problem bandytów. Sarah wyrzucała sobie te podłe myśli, ale miała nadzieję, że dojdzie do walki bandytów z Rosjanami, powybijają się nawzajem i w końcu będzie już po wszystkim.

Pociągnęła z kubka łyk wystygłej, gorzkiej kawy.

Rozdział XLII

Generał Ismael Warakow usłyszał odgłos kroków na posadzce muzealnej sali. Nie musiał podnosić wzroku znad zarzuconego papierami biurka, żeby wiedzieć, że to Roźdiestwieński z wprost niewiarygodną punktualnością stawia się na spotkanie.

Odgłos kroków był coraz bliższy. Warakow przeglądał pilną depezę z Kremla. Najwyższe kierownictwo nadal siedziało w swoim bunkrze.

Rozkazuje się - czytał generał - udzielić wszelkiej pomocy i wsparcia grupie specjalnej pułkownika KGB Roźdiestwieńskiego ze strony armii, GRU i wszystkich pozostających pod waszym dowództwem sił. "Łono" ma bezwzględne pierwszeństwo i należy mu podporządkować wszystkie wasze działania na tym obszarze. Podpisano: Komitet Centralny i Lud Sowiecki.

Warakow uśmiechnął się. Całkiem jak SPQR - Senatus Populusque Romanus (Senat i Lud Rzymski). Znał ich historię.

- Towarzyszu generale! Pułkownik Roźdiestwieński melduje się!

- Siadajcie, pułkowniku - mruknął, nie odrywając wzroku od depezy. - Wygląda na to, że mam wesprzeć was i wasz projekt. Niemniej jako dowódca muszę mieć wyczerpujące informacje na temat ewentualnych następstw moich rozkazów.

- Towarzyszu generale...

Warakow spojrzał na pułkownika. Był to jasnowłosy mężczyzna o atletycznej budowie, przystojny, wyprężony jak struna nawet wtedy, gdy siedział. Warakowowi przypominał on oficera doborowej gwardii SS.

- Słucham, pułkowniku.

- Cała produkcja przemysłowa na potrzeby działań wojennych w Chińskiej Republice Ludowej i walki z niedobitkami NATO ma zostać czasowo zaniechana - wyjaśnił Roźdiestwieński. - Należy także odsunąć na plan dalszy tę część produkcji rolnej, która nie ma znaczenia dla naszych prac. Wszystkie siły należy poświęcić, tak jak ujmują to rozkazy, dla przyspieszenia realizacji planu "Łono", aż do osiągnięcia ostatecznego celu.

- A jaki jest ten cel, pułkowniku?

Słowo "towarzyszu" nie przeszło Warakowowi przez gardło; ci, do których tak mówił, znaczyli dla niego zbyt wiele, by miał je aż tak splugawić.

Przyglądał się Roźdiestwieńskiemu. Mundur pułkownika był w idealnym stanie, bez jednej fałdy, inaczej niż jego własny, którego niejednokrotnie nie zdejmował przez wiele dni i nocy.

- Mówiąc najprościej, towarzyszu generale...

- Macie rację. Prostota jest najważniejsza.

- Nie chciałem was urazić, towarzyszu. Zawsze żywiłem najgłębszy podziw dla waszych osiągnięć wojskowych...

- Proszę was, oszczędźcie mi... - przerwał generał.

- A więc celem planu "Łono" jest to samo, co ma na celu amerykański "Projekt Eden" -

przetrwanie najlepszej i jedynie właściwej ideologii. Ale to my zatriumfujemy. Amerykanom się to nie uda.

- Mówicie przenośniami, pułkowniku. Proszę o konkrety.

- "Projekt Eden" został powzięty, by w przypadku rozpętania się światowego konfliktu jądrowego, za wszelką cenę zapewnić przetrwanie tak zwanych zachodnich demokracji. Nasze "Łono" umożliwi wieczne zwycięstwo i chwałę rewolucji ludowej. Nadal jednak brakuje nam pewnego istotnego ogniwa. Aby osiągnąć nasz cel, aby komunizm przetrwał, armia musi wszystkimi siłami wspierać KGB w poszukiwaniu tego elementu. W przednym wypadku, plan spełni na niczym i amerykański imperializm zatriumfuje.

- A co z ludem sowieckim, pułkowniku? - zapytał głucho Warakow. - Co z jego przetrwaniem?

Roźdiestwieński uśmiechnął się.

- Mogę mówić bez ogródek, towarzyszu generale?

- Cóż za zmiana! No nareszcie, przecież od początku was o to proszę.

- Duch ludu sowieckiego, duch mas pracujących całego świata znalazł najpełniejsze ucieleśnienie w kierownictwie politycznym Związku i w KGB, jego ramieniu wykonawczym.

- I do diabła z ludem? - zapytał Warakow prosto z mostu.

- Sama natura masy już od podstaw zakłada pewną selekcję...

- A więc arka - jak Arka Noego w Biblii. Tylko że zaproszenia zostaną wystosowane zgodnie z zasadami dialektyki?

- Znajdzie się tam miejsce i dla was, generale. Warakow wybuchnął sardonycznym śmiechem.

- Żyję już zbyt długo, żeby teraz zasypiać na pięćset lat, nie wiedząc, co zobaczę, gdy otworzę oczy!

- Może wasza siostrzenica, jeśli uda się ją odnaleźć...

- Żeby stała się pana kochanką albo została rozstrzelana, bo przecież podejrzewacie, że maczała palce w śmierci Karamazowa? To będzie trudne, pułkowniku.

- Otrzymał pan rozkazy z Moskwy...

- Ci w Moskwie to teraz banda staruchów, którzy boją się umrzeć godnie, bo nie żyli godnie. Dziadów, którzy chowają się w bunkrze i trzęsą portkami. Boją się komukolwiek zaufać, tak że nawet dowódcy armii nie wiedzą, gdzie jest ich kryjówka! Stłoczyli się tam i czekają, co?

- Ależ, towarzyszu generale...

- Nie nazywaj mnie towarzyszem! Otrzymałem rozkaz. Od piętnastego roku życia przyzwyczaiłem się słuchać rozkazów. Teraz muszę być posłuszny tchórzliwym mordercom, którzy chcą jedynie uratować swe życie, kosztem narodu! Podporządkuję się ich rozkazom. Biercie moje oddziały, pułkowniku, możecie wziąć je wszystkie. Ale nie jestem waszym towarzyszem i nigdy nim nie byłem. Możecie odejść!

Warakow opuścił głowę i znów zagłębił się w papierach. Usłyszał skrzypnięcie odsuwanej krzesła - Roźdiestwieński wstał; potem stuknięcie obcasów, gdy salutował, a jeszcze później długa chwila ciszy, gdy tamten czekał. Nie podniósł głowy, żeby oddać honory. Nareszcie pułkownik zniknął za drzwiami.

Oczywiście nie będzie odwołania do Moskwy, przedwczesnej emerytury, ani żadnego sfigowanego wypadku. On, Warakow, umrze tak samo jak wszyscy.

Czuł, jak pieką go opuchłe stopy.

Rozdział XLIII

David Balfry otworzył oczy. Powieki zaboląły, kiedy nimi poruszył. Nos miał obrzmiały i nie mógł oddychać. Nad nim paliło się jaskrawe światło.

Spojrzał na swoją klatkę piersiową i zaraz odwrócił wzrok. Elektrody wciąż tkwiły na czarnych, zwęglonych sutkach.

- Już przytomny? - zapytał jakiś głos z uprzejmą ironią. - Zresztą, upewnijmy się.

Balfry poczuł ostry ból, rozchodzący się od jąder. Czuł swąd własnego, przypalonego ciała.

- Niiieee! O Chryste, nie!

Ból urwał się nagle i Balfry leżał otępiały. Tylko gdzieś w środku, w żołądku, nadal tliło się samo centrum bólu.

- Może jednak zdecydujesz się powiedzieć nam to, co chcielibyśmy wiedzieć o tak zwanym Ruchu Oporu? - pytał śledczy.

- Odpierdol się - wymamrotał Balfry zeszywniałymi ustami i nie poznał własnego głosu.

Żęby miał połamane, język spuchnięty z pragnienia i poraniony. Posługiwali się młotkiem i dłutem na zmianę z obcęgami. Poczował słony smak w ustach. Domyślał się, że to krew.

- Nie podoba ci się nasz dentysta? A może elektrostymulacja, co? Hmmm... - głos gruchał nad nim. Twarzy Balfry nie widział. - Trudno to wytrzymać, co? Boli?

W przerażającej ciemności, poza kręgiem światła rozległ się śmiech.

- Są rzeczy niewyrażalne ani w twoim, ani w żadnym innym języku, Balfry. Możemy cię na nie skazać. Ale są też leki, które ukoją twój ból i szybko przeniosą cię na tamten świat. Wybór należy do ciebie. Mamy czas. Godziny, dni, tygodnie - tak długo, jak będzie trzeba.

- Nieprawda - wycharczał David. - Potrzebne wam to, co wiem, i to zaraz. Ale żeby dostać to teraz, będziecie musieli mnie zabić. A wtedy nie dowiecie się niczego.

- Proszę, proszę, profesorek robi nam wykład. No, to spróbujemy elektrod. To bardzo interesujące patrzeć, jak się skręcasz.

Fala bólu zalała pierś Balfry'ego. Nie powiedział jednak ani słowa. Gdyby potrafił, roześmiałby się śledczemu w nos.

Rozdział XLIV

Roźdiestwieński wszedł do małego pomieszczenia w podziemiach muzeum. To, co ujrzał, sprawiło, że poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Barbarzyńcy! Gorzej - niekompetentni barbarzyńcy! To ważny więzień! Informacje, które posiada, mogą okazać się niezbędne, a wy w ten sposób igracie z jego życiem!

Nie widział twarzy jeńca w cieniu, poza kręgiem lampy. Wpatrywał się w jego ciało.

- Ale, towarzyszu pułkowniku...

Rozpoznawał głos podwładnego. Nie mógł oderwać oczu od obnażonego, potwornie zmaltretowanego ciała, rozciągniętego na "warsztacie". Było niemal całkowicie odarte ze skóry.

- Macie natychmiast wezwać lekarzy. Tego człowieka trzeba poddać leczeniu, a kiedy dojdzie do siebie, zaaplikuje mu się narkotyki. Narkotykom się nie oprze i wtedy przesłuchanie da lepsze rezultaty niż ta jatka. - Roźdiestwieński odwrócił się do wyjścia. - Zboczeńcy! - dorzucił na odchodnym.

- Towarzyszu pułkowniku...

Roźdiestwieński zatrzymał się z ręką na klamce. Nie odwracał głowy. Nie chciał znów patrzeć na tego Amerykanina.

- On nie żyje, towarzyszu pułkowniku. Nie miałem pojęcia, że...

Pułkownik oparł się o drzwi, zatraskując je swoim ciężarem.

- Macie sprawić tym... szczątkom przyzwoity pogrzeb. Był kimś w rodzaju oficera wrogiej armii i zasłużył na to. - Odwrócił się, zrobił kilka szybkich kroków i chwycił za gardło człowieka, którego metod nienawidził. - A jeśli kiedykolwiek - kiedykolwiek, słyszysz? - odważysz się jeszcze raz zrobić coś takiego, nie licz na długi sen i nowe życie. Z przyjemnością i własnoręcznie wypruję ci flaki.

Roźdiestwieński odepchnął od siebie oprawcę. Ten upadł na stolik z narzędziami. Metalowe i szklane przedmioty potoczyły się z brzękiem po kamiennej posadzce.

Pułkownik podszedł do drzwi i jeszcze raz spojrzął na martwe ciało.

- Bestie!

Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi, jak gdyby chciał pozostawić za sobą wspomnienie tego obrazu.

Rozdział XLV

Czarny Harley Rourke'a jako ostatni z trzech motocykli przenoszony był na brzeg. Cały odcinek wybrzeża został gruntownie zbadany, ale nie znaleziono miejsca nadającego się na przystań. Pozostała więc tylko ta płaska skała. Woda tu była na tyle głęboka, że łódź mogła podплыć na odległość dziesięciu jardów od brzegu. Krople słonej wody unoszone przez wiatr opadały na twarz Johna. Natalia i Paul podążali już skalną ostrogą w stronę brzegu. U boku Rourke'a stał tylko komandor Gundersen. Opuszczany powoli przez pokładowy dźwig Harley niepokojąco kołysał się na linie.

- Co z O'Nealem?

- Położyłem go w izbie chorych. W tej awanturze z Cole'em dorobił się kilku sińców i ran. Ale czuje się dobrze. Pozdrawia. Życzy ci powodzenia w poszukiwaniu rodziny.

- Powiedz mu, że ja także życzę mu szczęścia i jeżeli kogoś szuka, żeby go znalazł i... no, powiedz mu - zakończył Rourke niezgrabnie.

Gundersen roześmiał się.

- W porządku. Dokładnie mu to powtórzę.

- Dokąd teraz płyniesz?

- Możliwie najbliżej Kwatery Głównej USA II, oczywiście tak, żeby nie ściągnąć sobie na głowę sowieckiego komitetu powitalnego. - Gundersen znów się roześmiał.

- A potem?

- Pewnie to dziwnie zabrzmie w ustach faceta, który się włóczy tam i z powrotem pod wodą, i pewnie powiesz, że żaden ze mnie żołnierz, ale zastosuję się do rozkazów. W końcu udało mi się nawiązać łączność z Kwaterą Główną, pośrednio, przez amatorską radiostację, uruchomioną zeszłej nocy przez ludzi z Ruchu Oporu. Facet nazywa się Critchfield. Mówi ci to coś?

- Nie znam go. Nie wspominał czasem o kobiecie z dwójką dzieci?

- Nie, muszę się przyznać, że nawet nie pytałem. Przepraszam.

- Mimo wszystko zajrzę do niego, kiedy wrócę.

- Jasne. Mamy już połączenie radiowe. Wygląda na to, że Cole naprawdę nazywał się Thomas Iversenn. Reed określił go... kudzu-komandos.

- Kudzu to roślina sprowadzona wiele lat temu z Japonii. Coś w rodzaju powoju. W Georgii rozrosło się to do rozmiarów plagi. Porasta słupy telefoniczne, opuszczone domy...

- Naprawdę?

- Tak. No więc co z Cole'em vel Iversennem?

- Był porucznikiem Gwardii Narodowej. Pojawił się pewnego dnia z tuzinem ludzi i zgłosił się na ochotnika do regularnej armii. Reed nie ufał mu nigdy do końca. Mówił, że to prawicowy radykał. USA II wysłały prawdziwego Cole'a z sześcioma ludźmi, żeby obsadzili bunkier raketowy. Głowice miały być użyte jako argument w rozmowach ze Związkiem Sowieckim. Iversenn dowiedział się o tym. Zabił Cole'a i wszystkich jego ludzi. Zabrał kartę identyfikacyjną i rozkazy. Prawie udało mu się

wykiwać Reeda.

- Skąd wiedział tyle o raketach?

- Pracował w zakładach produkujących głowice. W każdym razie tak przypuszczamy. Planował dorwać się do głowic nawet, gdyby wojna nie wybuchła. Chciał na własną rękę, pierwszy, uderzyć na Związek Sowiecki i zmusić Waszyngton, żeby włączył się w obawie przed odwetem. Wariat.

- Tak. To był wariat. - Rourke wyciągnął rękę, przyciągając do siebie motocykl. Gundersen pomagał mu.

- A ty, John? Reed mówił, że chętnie znów widziałby cię u siebie. Dał mi koordynaty nowej Kwatery Głównej i...

- Koordynaty zapamiętam, na wypadek, gdyby kiedyś były mi potrzebne. Ale mam rodzinę i muszę jej poszukać. Właśnie tym się zajmowałem, zanim Cole czy, jak mu tam, Iversenn, postrzelił Natalię i zaczęło się to wszystko.

- Poproszę cię wobec tego o przysługę. Masz tam ukryty odrzutowy myśliwiec...

- Eksperymentalny myśliwiec bombardujący.

- No cóż, znam się tylko na tym, co pływa na wodzie i pod nią. Samoloty zostawiam innym - zaśmiał się Gundersen.

- O co chcesz mnie prosić?

- Mówiłeś, że założyliście detonatory w bazie lotniczej Filmore, żeby ją zniszczyć, w razie gdyby ktoś się do niej dobierał.

- Natalia i Paul zakładali instalację. Rozumiem, że dobrze zrobili?

- Przekazuję ci bezpośrednio słowa prezydenta. Jeżeli Rosjanie wysadzą desant, nie chcemy, aby było jakiegokolwiek lotnisko, samoloty czy inne środki, które mogliby wykorzystać. Czy daliby radę przedostać się przez pułapki zastawione przez major Tiemerowną i pana Rubensteina?

- Może... gdyby byli bardzo ostrożni.

- No to mam dla ciebie rozkaz. To jest rozkaz prezydenta Chambersa, a moja prośba.

- Prośby mogę wysłuchać. Rozkazów nie przyjmuję - powiedział spokojnie Rourke, ustawiając motocykl.

- Wpakuj raketę czy cokolwiek chcesz w magazyn amunicji. Baza ma przestać istnieć.

Rourke zerknął na niego, odpinając Harleya od liny.

- Nie ma sprawy. Przelecę się nad nią w drodze na wschód. Może nie zrównam jej z ziemią, ale w każdym razie zniszczę główne pasy startowe i wysadzę magazyn uzbrojenia.

- Zgoda. Przekażę to Reedowi. Mam się z nim jeszcze raz połączyć, zanim się zanurzę.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Powodzenia, komandorze.

- Nawzajem, John. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy. Rourke nie odpowiedział. Po jasnym, porannym niebie przetoczył się grzmot.

Rozdział XLVI

- Nie pomyślałem... nie słyszałem dobrze nazwiska... - tłumaczył się radiowiec.

- Ty tępy ryju! - Critchfield zerknął przez ramię mrużąc: -Wybacz, Sarah - i wściekły odwrócił się znów do Lokatego. - Nie dosłyszał! Kretyn! Łap z powrotem tę łódź i powiedz Gundersenowi, żeby przekazał doktorowi Rourke, że jego żona i dzieci są tutaj cali i zdrowi, i że można wpaść po nich.

- Nie da rady... Łódź połączy się ze mną dopiero za godzinę...

- Więc pilnuj się, żebyś wtedy im powiedział!

Critchfield odwrócił się na pięcie i dużymi krokami przeszedł przez główne pomieszczenia schronu. Za ścianą szumiał generator.

Pochylona nad rannym Sarah podniosła wzrok.

- Mój mąż? - spytała.

- Mieliśmy połączenie radiowe z atomową łodzią podwodną marynarki Stanów Zjednoczonych, zakotwiczoną na Zachodnim Wybrzeżu - Bóg raczy wiedzieć, jak ono teraz wygląda. Komandor Gundersen wykorzystał nas jako przekaźnik w rozmowach z Kwaterą Główną. Musiałem zmienić Billa na warcie. Zostawiłem Lokatego, żeby monitorował połączenie, no, wie pani... a może zresztą pani nie wie. Śmieszne są takie radiowe przekazy. Zdaje się, że zniekształcają je prądy powietrza czy coś takiego. No i było mnóstwo szumów. W każdym razie Lokaty podsłuchiwał, jak mówią o doktorze Johnie Rourke i jego dwojgu przyjaciółach: jakiejś Rosjance, która jest po naszej stronie, a przynajmniej im pomogła i o facecie imieniem Paul.

- Rosjanka i chłopak o imieniu Paul... - powtórzyła Sarah.

- W każdym razie ten dupek, Lokaty - Critchfield poczerwieniał i znów wybąkał przeprosiny - nawet nie pisał o pani i o dzieciakach. Lokaty mówi, że będą jeszcze rozmawiać, za godzinę. Wtedy może uda się połączyć panią z mężem, pogadacie żdziebko, a potem on przyjedzie, żeby panią zabrać.

- John - szepnęła Sarah. Ile czasu upłynęło od jej ostatniej rozmowy z mężem?

Nie mogła się zdobyć na to, żeby cokolwiek powiedzieć. Pokiwała tylko głową i zaczęła poprawiać bandaż swojego pacjenta.

- Nie tak nerwowo, proszę pani. - Critchfield uśmiechnął się nagle. - Wysłałem Billa Mullinera z chłopakami w teren. Niedaleko jest oddział partyzancki. Muszę do nich dotrzeć. Kwatera Główna chce mieć raport o oddziałach, które jeszcze działają. Trzeba dać im znać, że Balfry mógł puścić farbę.

- Tak. - Było to jedyne słowo, jakie zdołała z siebie wydobyć.

- Powiem małemu, żeby zbiegł na dół się pożegnać. Kiwnęła głową, jeszcze raz usiłując nałożyć bandaż.

Rozdział XLVII

Przez otwór nad ich głowami widać było spalony dom. Nieliczne ocalałe belki rzucały cienie na twarz Billa, który patrzył w ziemię.

- Cieszę się, że znalazła pani męża, proszę pani.

- Boję się, że nie będę wiedziała, co mu powiedzieć. Przez wszystkie te lata walczyłam z jego przygotowaniami do... no, z jego obsesją na tle przetrwania. To on miał rację. I mogłabym być wtedy razem z nim w jego schronie, gdybym kiedykolwiek pozwoliła mu powiedzieć, gdzie to jest albo zabrać nas tam.

- Tak bardzo cieszę się, że się spotkaliśmy, pani Rourke. Ja też się cieszę, że cię poznałam, Bili. - Objęła chłopca ramieniem. - Gdyby nie twoja siła, twój hart ducha ani ja, ani dzieci nie...

- Coś mi się zdaje, że całkiem dobrze radzi pani sobie sama - zaśmiał się nieprzekonywująco.

- Cóż, pozory to jedyny sposób, aby mieć przy sobie mężczyznę, do którego można się zwrócić, wiedzieć, że jesteś przy mnie przez wszystkie te dni, ja... ja... nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. - Mocno pocałowała go w usta, tak jak mogłaby całować swojego rówieśnika, mężczyznę dwa razy starszego od tego chłopca.

Odwróciła twarz, nagle zmieszana. Kurczowo splotła dłonie na kolanach.

Słyszała jego oddech.

- Mam nadzieję, że kiedyś spotkam dziewczynę... i ona będzie... ooch... będzie podobna do pani...

Podniosła wzrok, ale Bili biegł już w górę po schodach. Sarah mocno zacisnęła powieki. Coś dławilo ją w gardle.

Rozdział XLVIII

Jechali starą ciężarówką z napędem na cztery koła. Zbliżali się do granicy Georgii. Bili znał te okolice. Niedaleko była mała miejscowość, w której był kiedyś z wycieczką kościelną. Helen - tak się nazywała ta szwajcarska wioska położona w Georgii. Uśmiechnął się, przywołując wspomnienie dziewczyny z wioski, która trzymała go za rękę, kiedy włączyli się po sklepach.

Teraz dłonie zaciskał na kierownicy. Oddział partyzancki, którego nazwy nie mógł sobie przypomnieć, ukrywał się w zdziczałym parku krajobrazowym wokół wodospadów Anny Ruby. "Tam też byłeś jako bardzo małe dziecko" - powiedziała jego matka, całując go na pożegnanie, gdy wsiadał do ciężarówki. Nie pamiętał tego.

Samochód szarpał i podskakiwał. Droga była pokryta zwirem i śliskim, błotnistym mułem. Bili walczył, żeby utrzymać panowanie nad kierownicą i nie wpakować wozu do głębokiego rowu.

Oczywiście były lepsze drogi, nowoczesne autostrady, ale kontrolowali je Rosjanie.

Tu mogli być tylko bandyci, a ci zwykle byli mniej liczni i gorzej uzbrojeni. Coraz mniej było ludzi, których mogli okradać, miast do plądrowania, żywności i broni, o które można było walczyć.

Bandyci ci nadal włączyli się po okolicy - czasem uzbrojeni po zęby, ale częściej przypominali śmieciarzy. "Kiedyś uważali się za królów - pomyślał Bili. - Dziś są jak trędowaci". Ale ci trędowaci wciąż byli niebezpieczni, więc Bili wpatrywał się w mijane drzewa. Tak samo wpatrywał się mężczyzna, siedzący obok niego w kabinie i inni, w otwartej pace ciężarówki.

Dostrzegali ich oczy, rysy, wyostrzone w świetle gwiazd. "Życie nigdy już nie będzie takie, jak przedtem" - pomyślał nagle Bili.

Rozdział XLIX

Komandor Gundersen pochylił się nad radiostacją, w ostatniej chwili opanowując się, by nie uderzyć w nią pięścią. Wiedział, że w razie awarii nie będzie mógł nawiązać łączności z Kwaterą Główną USA II.

- Są tam, z wami? - rzucił do mikrofonu, nie troszcząc się o hasło i kod wywoławczy.

- Wanna, tu Kret. Potwierdzam informację.

Nagle zdumiała go absurdalność tych określeń i całej tej sytuacji.

W tej chwili Rourke jest już na pewno na pokładzie samolotu, poza zasięgiem nadajnika łodzi podwodnej. Zresztą i tak nie będzie włączał radia, żeby nie wykryli go Rosjanie.

- Cholera! - sapnął Gundersen, odwracając się od radiostacji.

- Sir?... Co mam,.

Komandor spojrział przez ramię na radiooperatora.

- Powiedz im... powiedz pani Rourke... Chryste, co ja mam powiedzieć pani Rourke?

Stał bezradnie zaciskając pięści. Wyobrażał to sobie: "Małżonek szanownej pani wyjechał niecałe pół godziny temu. Jeżeli jeszcze nie jest w samolocie, to wkrótce w nim będzie i nie sposób go teraz złapać. Planował rozejrzeć się po Tennessee, więc niech pani po prostu nie rusza się z miejsca, a może panią znajdzie. Tennessee to nie jest taki znowu wielki stan, prawda?"

Potrząsnął głową ze złością.

- Sir...

- Powiedz pani Rourke, że... O Boże, sam jej powiem! Gundersen chwycił mikrofon i odłożył go z powrotem. Nie wiedział, co powiedzieć.

Rozdział L

Jedyną osobą, na którą generał Warakow mógł jeszcze patrzeć bez obrzydzenia, była jego sekretarka. Podniósł głowę znad biurka.

- Katiu! - zawołał. - Katiu! - Poniosło się echem przez salę muzeum.

Znów spojrział w papiery. Ani słowa o jego siostrzenicy, ani słowa o Rourke'u.

Za siedem do dziesięciu dni - a może nawet wcześniej - będzie już po wszystkim. Wkrótce szukanie ich nie będzie miało sensu.

- Katiu!

- Słucham, towarzyszu generale. - Stała już przy jego biurku. Westchnął głośno. Stopy piekły go potwornie. Wstał, starając się wepchnąć je w buty.

- Twoja matka żyje?

- Tak, towarzyszu generale. W kolchozie niedaleko Mińska.

- Zarządzam przeniesienie jej do mojej willi nad Morzem Czarnym. Tam jeszcze wciąż jest pięknie. Dopilnuj, żeby wystosowano rozkazy. Masz brata?

- Tak, towarzyszu generale. Zdaje się, że walczy w północnych Włoszech.

- Prześlij mój rozkaz jego dowódcy. Uprzedzę go. Twój brat ma się także stawić w willi nad Morzem Czarnym.

- Ale... towarzyszu generale, ja...

Z wielkim wysiłkiem zrobił kilka kroków i obszedł biurko. Był bardzo zmęczony. Ujął obie ręce dziewczyny, wyjmując jej z dłoni notatnik i ołówek.

- Wkrótce wszyscy umrzemy. Do tego czasu powinnaś być z ludźmi, których kochasz, Jekatierino. Wystosujesz takie same rozkazy odnośnie twojej własnej podróży i nadasz im bezwzględny priorytet. Nie warto tutaj oczekiwać cudu. Będiesz razem z nimi.

Wilgotne od łez oczy dziewczyny spoglądały mu w twarz.

- Napiszę rozkazy w sprawie mojej matki, towarzyszu generale. I dla mojego brata. Żeby byli razem. Ale ja nie wyjadę.

- Jesteś lojalna, dziecko, lecz powinnaś być teraz z tymi, których kochasz.

- Zostanę tutaj, towarzyszu generale. - Spuściła oczy. Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał. - Wtedy będę z tym, którego kocham.

Warakow przymknął oczy, tuląc dziewczynę w ramionach. Wszyscy zginą. Wiedział o rym. Chyba, że uda mu się odszukać Natalię i Rourke'a. - I to szybko.

Rozdział LI

Rourke załadował wszystkie trzy motocykle na pokład myśliwca. Ranny w rękę Paul nie mógł im pomóc, ale wraz z Natalią usunęli tyle maskujących gałęzi i śmieci, ile tylko zdołali.

John przeszedł na dziób maszyny i zasiadł przed główną konsolą, sprawdzając obwody elektryczne.

Pozostało mu jeszcze zniszczyć bazę lotniczą Filmore. Potem wylądować możliwie jak najbliżej swego schronu. Znow zamaskują samolot. Muszą się dostać do schronu. Zostawią Paula, żeby spokojnie wracał do zdrowia. Potem wrócić do samolotu po zapasy broni i amunicji. Natalia upierała się jeszcze, że Rourke musi przeczytać depezę od jej wuja. "Być może, wtedy była to pilna sprawa. Teraz, gdy minęło już tyle czasu, zadanie Rosjanki chyba nie ma sensu" - pomyślał.

A więc niezależnie od depezy, zanim zrobi to, na czym tak zależało generałowi Warakowowi, musi znaleźć Sarah i dzieci.

Sarah. Michael. Annie. Rourke westchnął, żując koniuszek cygara i przyglądając się, jak rosą wskazania przyrządów. Było duszno, ale nie zamierzał rozpocząć przeglądu od kontroli klimatyzacji. Miał ważniejsze sprawy do załatwienia

Czego mógł chcieć Warakow? Być może pozycja Natalii stała się niepewna i generał chciał po prostu, żeby została przy nim w bezpiecznym miejscu. John uśmiechnął się. Swego towarzystwa raczej nie nazwałby "bezpiecznym miejscem".

Ale czegokolwiek dotyczy depeza, nie będzie przecież aż tak ważna. To drugorzędna sprawa. Teraz zaczną przetrząsać Tennessee. Być może któryś z oddziałów partyzanckich spotkał kobietę z dwojgiem dzieci. Zastanawiał się, czy partyzanci nadal jeżdżą konno.

Uśmiechnął się na wspomnienie tych zwierząt. Tilde, klacz jego żony, i Sam, jego duży, siwy koń z czarnym ogonem i grzywą, z długimi, czarnymi "skarpetkami" na wszystkich czterech nogach... Dobrze byłoby znow jechać konno, u boku Sarah.

Słyszał toczący się po niebie grzmot. Będzie musiał zachować ciszę radiową, żeby przypadkiem nie namierzyli go Rosjanie. Tak czy owak, na wyższych pułapach szum w słuchawkach byłby nie do zniesienia.

Pochylił się nad przyrządami.

Baza lotnicza Filmore ukazała im się niespodziewanie, kiedy minęli skalne pasmo. Rourke cały czas leciał nisko nad ziemią. Teraz jeszcze bardziej obniżył pułap lotu i rozpoczął nalot.

- John! - Rozległ się w słuchawkach głos Natalii. - Może łatwiej ci będzie, jeżeli ja wystrzelę rakiety?

Doktor pokręcił głową.

- Nie. Ja to zrobię.

Wspiął się lekko, żeby zrobić zakręt. W myśli wybierał już cele, rozrzucone na pokratkowanym ekranie komputera. Zamontowana na dziobie kamera potwierdziła, że baza jest nietknięta. Konieczny był nalot bombowy. Po ziemi poruszały się ludzkie sylwetki. Dzicy pozbawieni wodza nadal błakali

się po okolicy. Będą musieli zginąć. Tym lepiej dla nich.

Wyszedł z zakrętu i wyrównał lot. Spojrzał na umieszczoną przed sobą aparaturę naprowadzającą, zerknął na wskaźnik podchodzenia i sprawdził kąt. Delikatnie pokręcił kilka gałek na bojowej tablicy manewrowej.

Znów był nad lotniskiem, nabierał wysokości. Zakręt Wyrównanie. Wyrzutnia uzbrojona. Sprawdził nachylenie skrzydeł.

- Uwaga, zaczynam! - powiedział do mikrofonu.

Ujął stery lewą ręką i nacisnął guzik. Rakieta typu Phoenix uderzyła w skład amunicji, który natychmiast eksplodował. W ślad za nią poleciała druga rakieta, zmieniając arsenał w ognisty kłęb. Rourke pochylił nieco maszynę, zawrócił, wyrównał i uwolnił spod skrzydeł ładunek ciężkich bomb. Poderwał lekki teraz samolot w górę. Bomby wybuchały jedna po drugiej, uderzając w ziemię. John skierował kamerę do tyłu i nabierając wysokości obserwował wybuchy.

Pas startowy przestał istnieć. Kiedy opadnie dym i kurz, po bazie pozostaną jedynie dziury w ziemi.

Rourke obniżył lot i włączył automatyczny wysokościomierz radarowy, pomagający niezależnie od nierówności terenu utrzymywać stałą wysokość.

- Wracamy do domu - powiedział.

Natalia i Paul milczeli. Zresztą nie oczekiwał odpowiedzi.

Rozdział LII

Na ekranach monitorów systemu radarowego operacji “Łono” - niegdyś Centralnego Radaru Północnoamerykańskiego Dowództwa Wojsk Ochrony Powietrznej na Mount Thunder w Górach Skalistych - ukazał się świetlisty punkt oznaczający samolot.

Dyżurny technik nacisnął włącznik alarmu. W mgnieniu oka pojawił się przy nim oficer.

- Towarzyszu poruczniku - meldował pośpiesznie technik. - Leci nisko, pewnie ma radarowy wysokościomierz. Ponaddźwiękowy. Sygnał odpowiada amerykańskim F-III. Może to jakiś wariat.

Na chwilę oderwał oczy od ekranu, spoglądając na oficera.

- Skontaktuj się z obroną. - Porucznik podniósł słuchawkę czerwonego aparatu telefonicznego na konsoli. - Radar ma pewny amerykański sygnał - powiedział do słuchawki. - Ofensywny myśliwiec bombardujący F-III. Prosimy o użycie systemu wiązek elektronowych. Tak, czekam przy aparacie.

Technik obserwował świetlny punkt na ekranie.

- Porusza się szybko, towarzyszu. Około osiemset mil na godzinę.

- Towarzyszu, za chwilę stracimy sygnał - powiedział porucznik do telefonu.

- Wychodzi poza ekran, towarzyszu poruczniku. - Technik patrzył, jak niknie zielony punkcik przy lewej krawędzi ekranu.

- Dobrze, towarzyszu.

Technik postyszał szcęk odkładanej słuchawki. Nadal nie odrywał oczu od ekranu.

- Nie zezwolono na użycie systemu wiązkowego - rzekł oficer.

- Brak sygnału! - zameldował technik.

- Niech jeszcze trochę pożyje - roześmiał się oficer. Technik nadal wpatrywał się w ekran. Przypuszczał, że może pojawić się nowy sygnał albo samolot powróci, by zaatakować lotnisko. Może wtedy posłużą się wiązkami. Przyglądał się próbie systemu, kiedy kilka dni wcześniej instalowano go w bazie. Ledwie widoczny promień świetlny grubości ołówka - a samolot wyparował, zniknął. Było to najbardziej imponujące widowisko, jakie technik widział w całym swoim życiu. Z uwagą obserwował matowy ekran radaru. Nic. Tylko od czasu do czasu podchodził do lądowania transportowiec z dostawami dla “Łona”.

Rozdział LIII

Sarah Rourke spacerowała obok spalonego domu. Tak bardzo przypominał jej własny dom, utracony na zawsze.

John znowu zniknął. Z tą Rosjanką, jak ona się nazywała? Major Natalia Anastazja Tiemerowna. Kilkakrotnie powtarzała nazwisko, jak gdyby smakując je. Nie odważyła się zapytać komandora, czy ta kobieta jest piękna. Był jeszcze z nimi mężczyzna - Paul Rubenstein. Jeżeli ta kobieta była z którymś z nich, mogła być tylko z Johnem. Sarah nie miała co do tego wątpliwości. Przystanęła na chwilę, uśmiechając się. Która kobieta, gdyby dano jej możliwość wyboru, nie chciałaby należeć do Johna Rourke?

A ona sama? Przed Nocą Wojny kilkakrotnie nad tym rozmyślała. Ale nie ośmieliła się wyrzec słowa "rozwód". Za bardzo go kochała, a on też ją kochał, wiedziała o tym.

Może myśli, że ona nie żyje? Ale w takim razie, dlaczego mówił Gundersenowi, że będzie jej szukał?

Tyle było pytań. Jeśli ją odnajdzie, będzie czas je zadać. Podjęła decyzję. Ruch Oporu toczył ważną walkę. Ona też była wśród nich. Zostanie tutaj, z ludźmi Critchfielda i będzie walczyć. Bili wróci... A pewnego dnia John ją odnajdzie.

- Pewnego dnia - powtórzyła na głos.

Czuła się dziwnie. Pod powiekami wezbrały łzy.

Rozdział LIV

Zamaskowana ciężarówka została w tyle. Bili Mulliner i jego towarzysze szli teraz pieszo. Jedyna, wiodąca przez góry droga, była kontrolowana przez Rosjan. Partyzanci nie mogli ryzykować. W ogóle cała ta wyprawa była ryzykowna. Rozproszone oddziały nie miały ustalonych haseł, nie tworzyły nawet jednej organizacji. Kiedy już dotrą na miejsce, Bili będzie musiał przekonać dowódcę, który podobno nazywał się Koenigsberg, że naprawdę wysłał go Pete Critchfield, i że ustne informacje, które ma przekazać, pochodzą rzeczywiście od Critchfielda oraz od prezydenta Chambersa i Reeda, szefa wywiadu.

Westchnął głęboko. Zastanawiał się, czy kiedy wróci do nowej kwatery oddziału, pani Rourke jeszcze tam będzie. Wszyscy mówili, że Sarah wyjedzie. Miał nadzieję, że kiedyś znów ją zobaczy. Że być może kiedyś spotka kobietę taką, jak ona.

Szedł zaciskając w ręce M-16. Wiedział, że kobieta będzie o nim pamiętać. Chociażby dlatego, że dał jej pistolet swojego ojca, starego Trappera 45. Miał nadzieję, że nie będzie to jednak jedyny powód...

Jedynie tutaj można było wylądować. Maszynę ukryli w rzadkim lesie. Rourke odszedł kilka kroków od samolotu i przyjrzał mu się. Maskowanie było skuteczne, ale tylko wobec obserwacji z powietrza. Zabezpieczył silnik. Teraz nikt nie mógłby już wystartować, chyba że miałby ze sobą komplet części zamiennych do F-III i całą narzędziownię, żeby je dopasować. Myśliwiec bombardujący był prototypem opartym jedynie na planach F-III.

Podszedł do Natalii i Rubensteina. Chłopak usadowił się już na siodełku Harleya, Natalia wciąż stała obok swojego motocykla. Żadne z nich nie zapuściło dotąd silnika.

- Stąd jest już nie więcej niż godzina drogi do schronu - powiedział.

- A tam Paul odpocznie - zauważyła Natalia.

- I ty też - odrzekł Rourke.

- Chcę ci pomóc...

- Opatrunki Paula muszą być zmieniane przynajmniej raz dziennie, a sam tego nie robi - przerwał Rourke. - Poza tym muszę nadrobić stracony czas. Sama dobrze wiesz, że nie doszłaś jeszcze do siebie po operacji.

- Właśnie, że tak - sprzeciwiła się Natalia.

- Dobrze, niech ci będzie. - Uśmiechnął się, wsiadając na motor. - Gotowi? - spytał.

Rubenstein skinął głową i przekręcił kluczyk. Natalia wsiadała na swój motocykl.

- Gotowi.

Rourke ruszył z impetem. Znał drogę na skróty. Prowadziła przez park, okalający wodospad Anny Ruby, niedaleko małej miejscowości o wdzięcznej nazwie Helen. Skierował się w tamtą stronę.

“Trup jest świeży, a przynajmniej tak wygląda” - pomyślał Bili Mulliner, spoglądając przez polową lornetkę na most łączący skaliste brzegi strumienia u stóp wodospadu.

Popatrzył w górę wodospadu. Uskok liczył około stu stóp, jeśli dobrze ocenił odległość. Chłopiec zbadał obszar za wodospadami. Nad błotnistą ścieżką, prowadzącą do lasu wznosiły się wysokie skały.

Spojrzał znów na most. Zabity był Amerykaninem i nie wyglądał na bandytę. "Za czysty" - pomyślał Bili.

Nagle dostrzegł jakieś poruszenie. Szybko nastawił ostrość. Na płaskiej skale, pięćdziesiąt stóp poniżej wodospadu i mostu, leżało inne ciało, też Amerykanin. Ten jeszcze żył.

- Musimy tam zejść - wyszeptał Bili do towarzyszy.

- Bzdura! Pewno bandyci albo co gorszego - powiedział brodaty mężczyzna, wyższy od Billa o głowę.

- Ten facet na skale żyje. - Mulliner spojrział przez lornetkę. Człowiek poruszył się znowu i chłopak dojrzał jego twarz. Rozpoznał Koenigsberga, dowódcę partyzantów, z którym miał się spotkać.

- To Koenigsberg - powiedział cicho.

- No, to wracamy do domu - mruknął na to brodac.

Bili odłożył lornetkę i zmierzył wzrokiem starszego od siebie mężczyznę.

- Możemy wracać drogą naokoło - w lewo, albo w prawo wąwozem. Możemy też iść prosto, na przełaj. Droga okrężna zajmie nam co najmniej pół godziny. Do tego czasu Koenigsberg może już nie żyć. Na wszystkich trzech ścieżkach jesteście kompletnie odsłonięci, jeśli ktoś obserwuje nas z tamtej strony skał. I tak ryzykujemy. A tamten człowiek to partyzant, tak jak my. Musimy go wydostać. A jeśli któryś z was się boi, niech zostanie tu i osłania mnie albo niech zwiewa, jak mu się tak podoba.

Bili znów obserwował przez lornetkę przeciwległe zbocze wąwozu. Żadnego poruszenia, z wyjątkiem wiewiórki, która leniwie wspinała się na pień drzewa. Było cicho.

- No, to jak kto chce iść, chodźmy! - Bili podniósł się.

Z pistoletem maszynowym w garści i lornetką na piersi wyszedł zza skał, kierując się w dół stromego usypiska. "Paskudne zejście" - pomyślał.

- Czekaj! - zawołał jeden z ludzi, głośnym, scenicznym szeptem.

Bili odwrócił się. Rozległy się strzały karabinowe. Brodaty mężczyzna, ten, który ciągle narzekał, padł na wznak. Mulliner skierował się w stronę, skąd padły strzały, podnosząc pistolet, kiedy nagle coś uderzyło go w pierś. Kolejny wystrzał. Za plecami Billa rozległ się krzyk. Znowu strzały.

Bili upadł, uderzając głową o skałę. Potrząsnął głową, starając się przewyciężyć szum w uszach. Spojrzał w dół. Z rany na piersi wydobywały się krwawe pęcherzyki.

- Jezu...! postrzelili mnie - powiedział sam do siebie.

Z trudem podniósł się z ziemi. Teraz strzały dochodziły z tyłu.

- Billy! Chodź tu, szybciej - usłyszał głos Thada Fricksa. "A więc Thad żyje" - pomyślał. Odwrócił się niezdarnie, starając się odsunąć od krawędzi skał. Kolejna seria. Broń wypadła z ręki Thada, a on sam upadł, znikając pośród drzew. Bili odetchnął gwałtownie. Ból ścisnął mu piersi.

Pojedynczy strzał. Chłopak poczuł, że osuwa się na ziemię. Noga paliła go. Ręce ślizgały się po skałach. Pistolet gdzieś przepadł, a on zsuwał się w dół. Głową uderzył w pień sosny, uczeplił się jakiegoś krzaka, ale gałąź wysliznęła mu się z ręki. Spadał, toczył się w dół, ciągle w dół.

- Jezu!!! - wykrzyknął.

- Strzały od wodospadów - szepnął Rourke, zatrzymując motocykl u podnóża pagórka.

- Co robimy, John? - spytał Rubenstein.

- Nie może ich być zbyt wielu. Strzały są nieliczne, brzmią jak pistolety maszynowe, ale dźwięk jest chyba za wysoki na AK-47. - Rourke spojrzął na Natalię. - Więc to nie wasi.

- Zgadza się - odparła dziewczyna. - Wygląda mi to na kaliber 223.

- Jedziemy. - Rourke uruchomił silnik i pomknął w górę wzniesienia. Minał rząd młodych sosen, potem zagłębił się w rzadki las. Za sobą słyszał ryk pozostałych motocykli, między udami czuł wibrację silnika.

Wpadł na szczyt i podskoczył w piaszczystym zagłębieniu. Przed sobą zobaczył ostro opadającą ścianę wąwozu. Zwolnił i stanął. Słyszał, jak Natalia i Paul zatrzymują się za nim.

U stóp skalnej ściany leżały ciała. Jedno na moście nad strumieniem wypływającym spod wodospadu, drugie na skałach, pięćdziesiąt stóp za mostem. A trzecie... trzecie, podobnie jak drugie, poruszało się jeszcze. Byli też żywi ludzie, bandyci. Schodzili w dół przeciwległą ścianą wąwozu, trzymając w rękach pistolety maszynowe, w których mimo dużej odległości Rourke rozpoznał M-16. Było ich pięciu

John był pewny, że tamci nie słyszeli nadjeżdżających motocykli. Bezustanny, głośny szum wodospadu tłumiał każdy odgłos.

“Bandyci” - pomyślał. Rozpoznał ich po brudnych twarzach, fryzurach, sposobie, w jaki się poruszali. Idący na przedzie mężczyzna podniósł pistolet i wystrzelił do człowieka na skałach, który jeszcze dawał znaki życia. Człowiek znieruchomiał. Tak, to byli bandyci. Mordowali z zimną krwią.

Rourke podniósł karabin do ramienia i zdjął osłony celownika. Teraz także jemu nikt nie zarzuci braku zimnej krwi.

Odbezpieczył broń i dwoma szybkimi strzałami położył mordercę. Przesunął celownik, znalazł następny cel i strzelił.

Za jego plecami grzmiał M-16 Natalii i niemiecki MP-40, który Paul nazywał “Schmeisserem”.

Ciała padały jedno za drugim.

John wymierzył i wpakował po kuli w każdą z pięciu głów. Teraz już na pewno byli martwi.

- John, pod ścianą leży rudy chłopak. Chłopak jeszcze żyje. Rourke oddał Natalii swój karabin.

- Weźcie motocykle i idźcie wzdłuż grani, aż będziecie mogli bezpiecznie zejść na dół.

Uważajcie na siebie. Ja zejdem tędy.

- Dobrze - szepnęła Rosjanka.

Doktor podszedł do krawędzi skał, znalazł miejsce, które wydawało się najmniej strome i zaczął schodzić. Ślizgał się, upadał, chwycił wystające kępy trawy, wstawał, biegł, żeby utrzymać się na nogach, przewracał się, a potem znów odzyskiwał równowagę. W końcu skoczył i spadł na dno wąwozu. Wstał i ostrożnie zaczął posuwać się po wilgotnych, omszałych skałach w kierunku rudowłosego chłopca. Tu, na dole, ryk wodospadu był jeszcze głośniejszy.

Były tu i inne ciała, ale tylko chłopak wyglądał na żywego. Rourke przeczołgał się przez okrwawiony gład i ukląkł obok chłopaka.

- Spokojnie, synu - powiedział, unosząc mu lekko głowę. Poczul na dłoni lepka wilgoć krwi.

- Wciągnęli nas w zasadzkę - szepnął chłopak.

- Już dobrze. Dostali za swoje. To byli bandyci.

- Tak... my... też ich tak... nazywamy.

- Nie mów nic. Leż cicho.

- Trzeba... pomóc temu... temu na skale...

- Nie żyje - powiedział cicho Rourke. - Jeden z nich go wykończył. Leż spokojnie.

John zastanawiał się, czy chłopiec poczuje się pewniej, jeśli mu powie, że jest lekarzem. Nie mógł mu już pomóc. Mały stracił mnóstwo krwi. Rana na piersi przestała krwawić, więc płuco na pewno już się zapadło. Powierzchniowe oględziny upewniły Rourke'a, że połamane są liczne kości. Chłopiec umierał. Doktor zdecydował się skłamać, powiedzieć temu dziecku, że będzie żył, że może żyć.

- Jestem lekarzem, synu. zrobię, co będę mógł, żeby... żeby ci ulżyć. - Kłamstwo nie chciało przejść mu przez gardło.

- Ja umieram. Pan wie. Pan jest doktorem - wykrztusił chłopiec. Ślina zmieszana z krwią pokazała się na jego wargach.

Rourke przytulił chłopca.

- Jesteś z Ruchu Oporu? - zapytał.

- Tak. Pan też?

- Nie. Jestem tu z przyjaciółmi. Właśnie tu schodzą. - John usłyszał kroki na skałach. Obejrzał się i zobaczył Natalię.

- John, zostawiłam Paula na górze. Tu jest za stromo, żeby mógł zejść

John? - świszczącym szeptem spytał chłopiec.

- Tak, synu. Na imię mi John.

- Doktor? - Tak.

- John Rourke - wyszeptał chłopiec.

- Skąd wiesz? - Przyjrzał mu się uważniej.

- Sarah... chłopiec... Michael... i mała dziewczynka... Annie...

Rourke zacisnął kurczowo dłoń na ramieniu chłopca.

- Moja żona i dzieci! Czy...

- Cunningham... Końskie rancho Cunningham... koło Mt. Eagle. W Tennessee...

- Mt. Eagle - powtórzył Rourke - Ty... ty jesteś Mulliner! Rudy chłopiec ze strzelbą przy drzwiach tamtej nocy! Farma Mullinerów!

- Bili Mulliner - wykrztusił chłopiec. - Bili Mulliner... Niech pan powie mojej mamie... powie, że ją kocham... pan jej powie... i powie pani Rourke... do... do...

Oczy chłopca otwały się szeroko, głowa opadła w tył. Z kącika ust pociekła strużka krwi.

- Do widzenia - dokończył Rourke za zmarłego chłopca i podniósł wzrok, napotyając niebieskie oczy Natalii. Dziewczyna zacisnęła powieki. Milczała.